

KOSSAKOWSKA

MAJA LIDIA



CZAS MGIEK

UPIÓR POŁUDNIA



Fabryka Słów
www.fabrykaslow.pl

Maja Lidia Kossakowska
Upiór Południa.
Czas mgieł

2009



COPYRIGHT © BY Maja Lidia Kossakowska, LUBLIN 2009

COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2009

WYDANIE I

Redakcja serii:

Eryk Górski, Robert Łakuta

Projekt okładki:

Piotr Cieśliński

Ilustracje:

Dominik Broniek

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

www.fabryka.pl

e-mail: biuro@fabryka.pl

ISBN 978-83-7574-140-7

Upiór Południa

1. Czerń
2. Pamięć Umarłych
3. Burzowe Kocię
4. **Czas mgieł**

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Czas Mgieł](#)

[Upiór Południa *Epilog*](#)

„Siła wraża krzywdę czyni”

*Bertran de Born
„Sirventes o rękawicy”*

„Nagle zatrzymały mnie rozpostarte, twarde ramiona. Uderzyłem czołem w coś, co brzęknęło blaszanie i upadłem na kolana. Wyczułem pod nimi elastyczną giętkość łodyg kwietnych, pewnie późnych georginii. Więc wyciągnąłem dłonie i odnalazłem przed sobą czworogranny słup. Jąłem wspinać się po nim palcami, aż natrafiłem ramię poprzeczne. Klęczałem przed krzyżem”.

*Tadeusz Konwicki
„Sennik współczesny”*

Czas Mgieł

Nataniel ścisnął rączkę swojej niewielkiej walizki niczym dłoń ostatniego przyjaciela. Rozglądał się niepewnie.

Żar lał się z bladego, cynowego nieba topiąc pusty dworzec w morzu gorąca.

Mały spłachetek peronu sterczał spośród zielska niczym samotna wyspa. Biały budynek dworca wydawał się wyschły i skurczony od słońca i wiatru, porzucony wśród łąk jak ogryziona kość. Farba odłaziła płatami od ścian, odsłaniając szare liszaje desek.

Nataniel odgarnął lepkie strąki włosów ze spoconego czoła. Czas był spojrzeć prawdzie w oczy. Nikt na niego nie czekał.

Jedyne pasażerki, które wraz z nim wysiadły z pociągu, dwie z wiejska odziane staruszki, kolebiące się pod ciężarem koszy jajek i masła, dawno już zniknęły w zaroślach okalających stację. Zielona, sielska cisza pochłonęła odległe posapywanie lokomotywy. Między podkładami pienieło się zielsko, szyny zrudziały od rdzy.

Mógłbym przysiąc, że nic tędy nie przejeżdżało od wieków, pomyślał z nagłym niepokojem.

Martwota dworca wydała mu się naraz przytłaczająca, niemal wiekuista. Powietrze drgało upałem, zamazywało kontury przedmiotów, zabudowania zdawały się migotać, nierzeczywiste niczym złudzenie. Czarne dziury okien zachodziły bielmem brudnych, potłuczonych szyb.

To kompletna ruina, stwierdził ze zdziwieniem Nataniel.

Stał bezradny na betonowej wyspie peronu, oblepiony słonecznym blaskiem, niezdolny do podjęcia żadnej decyzji. Nie mógł się otrząsnąć z nieprzyjemnego wrażenia, że śni, a podróż, którą odbył, tak naprawdę była jedynie halucynacją.

Walizka ciążyła mu w dłoni, więc poruszył zaciśniętymi na rączce palcami. Jakoś nie potrafił się zdobyć, żeby postawić bagaż na ziemi, zupełnie jakby był kotwicą utrzymującą go w rzeczywistości.

- Na litość boską - szepnął do siebie. - Przecież przyjechałem tym cholernym pociągiem. Dlaczego nikt po mnie nie wyszedł? Jak się nazywa ta dziura? Ciche? Szare? Ciemne? Do diabła, zapomniałem.

Zadrzał, a w głębi duszy ocknął się nagły lęk, zimny, groźny, niedobry. Bo chociaż ciało dobrze pamiętało każdą deskę twardej jak kamień ławki w przedziale, umysł niczego dokładnie nie pamiętał. Owszem, swobodnie tasował odległe wspomnienia, dzieciństwo, wczesną młodość, rodzinny dom, bliskich, ale te obrazy nie układały się w żadną spójną historię. Przypominały album z fotografiami. Im bliżej teraźniejszości, bardziej rozmytymi, nieczytelnymi, jakby ktoś przeświecił klisze. W pewnym miejscu zaczynała się wielka opalizująca dziura, obejmująca okres kilku miesięcy, czas, który zwykle mieści się pomiędzy przeszłością a chwilą obecną. Przerazająca pustka pełnej amnezji.

Nataniel czuł, że doznał wtedy jakiejś dojmującej straty, ale nie potrafił jej sobie uświadomić.

Nawet wspomnienia z odbytej przed chwilą podróży zachodziły już mgłą, blakły. Roily mu się jako półsennie obrazy, zamazany katalog strzępów. Poważne brązowe twarze, poorane niczym wiosenne pola. Dłonie o spękanych paznokciach statecznie zaplecione na pałkach koszy wyładowanych gdczącym i syczącym drobiem. Poczerniałe drewniane ławki i monotonna smuga krajobrazu za oknem.

Wszechobecny zapach świeżej ziemi i cebuli wypełniał szczelnie przedział, lepki i natrętny. Ślad tej woni pozostał jeszcze na jego koszuli, ukryty w zagnieceniach materiału.

Cała podłoga wagonu była zastawiona stertami tobołów, węzełków i koszy. Pamiętał, że on sam

tkwił wciśnięty w kąt pod oknem, nie mając gdzie podziać nóg, podczas gdy dorodna gęś przysiadła na jego butach.

Ale skąd przyjechał? Gdzie wsiadł do pociągu? Nie miał pojęcia.

Jedyne, co kołatało mu w głowie, to cel podróży. Kretyńska, pretensjonalna nazwa pensjonatu, w którym miał się stawić. „Purpurowa Magnolia”. Szczyt tandety, kojarzący się z nadmiarem różowego koloru i mdłymi posiłkami serwowanymi o zbyt wczesnych porach.

Wiedział też, że tak naprawdę nie był to przytulny hotelik w modnym kurorcie, ale położona na uboczu eksperymentalna klinika psychiatryczna. Został tu skierowany na obserwację. Przymusową obserwację.

Zrobili ze mnie wariata, pomyślał z goryczą. Biednego świra, któremu trzeba przecież pomóc. Co za draństwo.

Sporo słyszał o takich specjalnych szpitalach. Lęk przed zamknięciem w podobnej umieralni prześladował go od lat, powracał w najmniej spodziewanych chwilach niczym dotknięcie zimnej, trupiej ręki. Teraz ta ręka zaciskała palce na jego ramieniu, prowadząc go ku nieuniknionemu, wprost w paszczę „Purpurowej Magnolii”.

Zdumiewające, że na peronie nie czekał pluton biało umundurowanych pielęgniarzy o barach bokserów i mordach złych psów. W końcu był więźniem, mięsem do rozszarpania, jednostką zbędną i niebezpieczną. W pociągu miał przecież eskortę. Pamiętał jak przez mgłę dwóch rosnących, milczących tępaków w skórzanych marynarkach. Łapy niby granitowe otoczaki i kwadratowe gęby, drewniane jak maski. Siedzieli obok, na sąsiedniej ławce, ćmiąc pety. To chyba nie mogli być jacyś przypadkowi podróżni, nie z tymi oczami jak u psów szykujących się do walki. Rzeczywiście z nim jechali czy tylko tak mu się wydawało? Teraz niczego już nie był pewien. Ale, do diabła, musieli z nim jechać. Przecież nie puściliby go samego, nawet gdyby był związany i nadany pocztą jak paczka. Znal ich metody.

Pewnie po drodze stwierdzili, że z niego nic już nie będzie, że jest pusty, niepotrzebny jak śmieć. Że nikomu niczym nie jest w stanie zagrozić. Nawet ich pieprzonej idei. Dlatego nie wysiedli, nie przekonali się, czy ich kumple odbiorą go na dworcu. Wykopali go po prostu z pociągu i pojechali dalej. Tymczasem tutejsi tajniacy nawet się nie pofatygowali na peron. Nie po cierpiącego na amnezję, bezbronego wariata.

Lekceważą mnie, zrozumiał z bólem. Wiedzą, że nie odważę się uciec. Jak po sznurku pójdę tam, dokąd mi każą.

To była przykra, kwaśna, podszyta tchórzem prawda, której musiał jednak stawić czoła. Nie stać go było na bohaterstwo.

Rozprażone niebo wylewało na peron kubły żaru. Nataniel westchnął. Powinien ruszyć tyłek, poszukać tej cholernej „Magnolii”. W końcu nie może tu tkwić w nieskończoność.

Gęstwina krzaków zamykała stacyjkę zielonym murem. Powlókł się niechętnie w jej kierunku i rozgarnąwszy kurtynę liści, przełazi na drugą stronę.

* * *

Przed sobą zobaczył piaszczystą drogę, rozciągniętą wśród pól jak zdechły wąż. Ciemna obręcz lasu dławiła horyzont. Wielka lipa rozsiadła się na skraju traktu, przysadzista, podobna do wiejskiej baby. W rowie jak oszalałe cykały świerszcze. Błede kwiaty o mięsistych liściach roztaczały słodki, mdlący aromat padliny. Od upału kręciło się w głowie. Parne powietrze wdzierało się do płuc niechętnie, dławiące jak knebel.

Co za kąt zapadły, pomyślał ponuro Nataniel. Ostatnie zadupie świata.

Oślepiiony słońcem dopiero po chwili zauważył, że w cieniu drzewa coś się poruszało. Zatopiona częściowo w zielsku, przekrzywiona niebezpiecznie dwukółka o wyglądzie antycznego rydwanu. Posępny kary koń z wysiłkiem wyciągał chudą szyję, usiłując dosięgnąć chwastów w rowie. Na koźle w niedbalej pozie spoczywał ubrany na czarno mężczyzna. Wachlując się kapeluszem, spoglądał w stronę lasu.

Na widok pojazdu i woźnicy Nataniel uczył nieprzyjemny skurcz w okolicy mostka.

Przed sekundą nie było tu tej bryczki, stwierdził z niepokojem. Przecież nie mogłem jej nie zauważyć. Stoi za blisko. Szkapą z dwukółką to nie zapomniany parasol czy pakunek, który łatwo przeoczyć. Mam ataki katalepsji czy co? Chryste, chyba rzeczywiście wariuję.

Mężczyzna siedzący na koźle odwrócił się nagle w jego stronę i pomachał na powitanie.

Niemożliwe, żeby przyjechał po mnie, pomyślał Nataniel, który spodziewał się raczej zakratowanej karetki.

Ruszył jednak niespiesznie w stronę bryczki. Walizka ciężko obijała mu się o nogi.

- Przepraszam, czy dojdę tędy do pensjonatu „Purpurowa Magnolia”?

Woźnica miał przystojną, orlą twarz, która pewnie zachwyciłaby niejedną kobietę. Wydawał się całkowicie pozbawiony wieku, jakby dryfował gdzieś swobodnie między trzydziestką a sześćdziesiątką. W zębach trzymał grube, drogie cygaro.

- Pan przyjechał na kurację, prawda? Proszę wybaczyć, że nie wyszedłem po pana na peron, ale źle znoszę upały, a pociągi przychodzą tutaj bardzo niepunktualnie. Nazywam się Lampet. Leonidas Lampet. Jestem dyrektorem kliniki.

Wyciągnął dłoń. Miał zdecydowany, mocny uścisk. W ogóle sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze wie, czego chce. Wyglądał jak gwiazdor filmowy, pewien swej sławy i talentu. Nawet odzywał się głębokim, miękkim głosem, stworzonym, aby rozbrzmiewać z ekranu w ciemności sali kinowej.

Tylko to absurdalne nazwisko, pomyślał Nataniel. Pseudonim szarlatana. „Cudowna kuracja doktora Lampeta troski twe, bracie, w radość przemieni”. Już pana nie lubię, szanowny dyrektorze.

- Miło mi poznać pana - ciągnął doktor, okraszając przemowę olśniewającym uśmiechem, spreparowanym tak, żeby powalać na kolana rzesze rozanielonych panius. - Nie pytam, czy przyjemnie minęła panu podróż, bo oczywiście nie mogła minąć przyjemnie. Komunikacja to jedna z tutejszych niedogodności. To ciche miejsce, położone z dala od miast, cywilizacji. Świat prostych ludzi. I przyrody. Proszę tylko spojrzeć na ten krajobraz.

Powiódł wzrokiem po polach z taką dumą, jakby je osobiście stworzył.

Nataniel milczał. Skoro nie znalazł się tutaj z własnej woli, nie musiał silić się na uprzejmość.

Przynajmniej tyle, stwierdził z goryczą.

Niezrażony Lampet uśmiechał się wciąż serdecznie i filmowo.

- Proszę, niech pan wsiada. Zapewniam, że bryczka nie jest tak niewygodna, na jaką wygląda. Czy to pański jedyny bagaż?

Wskazał na walizkę.

- Tak - przyznał Nataniel, a w tej samej chwili głęboko pod mostkiem znów uczył bolesne tapnięcie lęku. Zdał sobie nagle sprawę, że nie ma pojęcia, co się znajduje w walizce.

Chyba ubrania, pomyślał niepewnie. Dobry Boże, naprawdę potrzebuję psychiatry.

Lampet nijak nie dał po sobie poznać, że zauważył nagłe zmieszanie pacjenta.

- Wobec tego niech pan wrzuci bagaż do tyłu. Mało tam miejsca, ale walizka na pewno się zmieści.

Nataniel posłusznie spełnił polecenie i wgramolił się na siedzenie bryczki. Pot zalewał mu oczy, mokra koszula lepiła się do pleców, a w umyśle kłębiły się, zderzając ze sobą, sprzeczne myśli i odczucia. Im usilniej starał się przywołać w pamięci wspomnienia ostatnich dni, tym bardziej był skołowany. W opalizującej mgłę wyświetlał się uporczywie jeden napis. Amnezja.

Lampet ściągnął lejce, zmuszając konia do uniesienia łba znad rowu pełnego zielska. Szkapo niechętnie targnęła głową, zadrobiła w miejscu, kopyta ześlizgnęły się po pochyłości, a dwukółka zachybotła niebezpiecznie.

- Cerber, bądź łaskaw uważać! - fuknął doktor. - Wywrócisz nam pacjenta!

Zwierzak wyszczerzył żółte zęby w złośliwym grymasie, ale wrócił posłusznie na drogę, jakby zrozumiał reprimendę.

- Nazwał pan konia Cerber? - zdziwił się Nataniel.

Lampet uśmiechnął się kwaśno.

- To imię doskonale do niego pasuje. Musi pan przyznać, że ma bardzo infernalny wygląd. Zresztą w zeszłym wcieleniu mógł być psem.

- No to awansował - mruknął Nataniel, który nie lubił psów. Wielkie czarne pyski z obnażonymi kłami jakoś źle mu się kojarzyły. - W następnym zostanie pewnie lekarzem.

Doktor się nie roześmiał. Zmierzył pacjenta przenikliwymi, bardzo ciemnymi oczami, które zdawały się nie mieć dna, jak czyste nocne niebo. Mimo upału Nataniel poczuł na plecach dreszcz chłodu.

- Pan się myli, przyjacielu. To nie ja jestem pańskim wrogiem. Mam nadzieję, że w końcu się pan o tym przekona.

No i znaleźliśmy się w domu, zrozumiał Nataniel z goryczą podbarwioną rozczarowaniem, bo Lampet zdołał go odrobinę zaintrygować. Znów te same głupie frazesy.

- Już to przerabiałem - warknął. - Pewnie sam nim jestem, co?

Kąciki ust lekarza drgnęły, jakby usłyszał coś zabawnego, ale wrodzone poczucie taktu nie pozwoliło mu się roześmiać. Zaciągnął się głęboko cygarem. Jego rysy zatonęły w kłębach dymu niczym w woalce.

- Och, nie - rzucił swobodnym tonem. - Starał się pan bardzo, ale nie.

Nataniel odwrócił głowę, zmęczony i zniechęcony. Lampet go zirytował. Promieniował tym wszechwładnym profesjonalizmem, tym zadufanym poczuciem lekarskiej wyższości. Cholerny zegarmistrz ciała i duszy. Był taki sam jak wszyscy inni. Nadęty i nudny.

Nagle zapragnął zapalić. Nie przypuszczał, żeby pozwolili mu zaopatrzyć się w papierosy, ale odruchowo sięgnął do kieszeni koszuli i ku swemu zdziwieniu wydobyl pomietą paczkę. Wyciągnął jednego, obrócił w palcach. Tytoń zaszeleścił sucho, z bibułki posypały się złote drobiny. Papieros był wyschły na wiór. Rozpadał się pod najmniejszym dotknięciem, jakby paczka przeleżała w kieszeni całe lata.

Nataniel jęknął w duchu.

To niemożliwe. Przecież musiał kupić tę piekielną paczkę na dworcu. Nie mogli mu chyba sprzedać tytoniu sprzed potopu szwedzkiego. A może to taki ich żarcik? Masz, zapal se, synku, he, he, he... Papieroszek w sam raz dla szanownego pana.

Nie wiedział. Niczego nie potrafił sobie przypomnieć.

Przesunął dłonią po twarzy.

Dość mam, pomyślał. Po prostu dość.

- Pańskie kłopoty z pamięcią mają źródło zupełnie gdzie indziej, niż pan sądzi - usłyszał przy uchu głęboki głos doktora.

Drgnął poirytowany. Konował zdecydowanie za wiele sobie pozwalając.

- Już pan postawił diagnozę? - warknął gniewnie.

Lekarz obrócił na niego oczy podobne do studni czarnej wody.

- Ależ skąd - powiedział spokojnie. - Ja po prostu widzę.

Nataniel stracił panowanie nad sobą.

- Widzi pan? Promieniami w oczach? Mesmeryzm pan jakiś uprawia czy chiromancję? Nie bardzo mi się podobają te pańskie tajemnice, mistyki i brednie, doktorze Lampet. Ma mnie pan w garści. Obaj doskonale o tym wiemy. Może pan ze mnie robić swego królika doświadczalnego, ale nie idiotę. Zrozumiał pan? I proszę wreszcie skończyć z tymi gierkami, mydleniem oczu, sztuczną uprzejmością, że niby przyjechałem tu do sanatorium, że na kurację i takie tam. Nie życzę sobie taniego współczucia... - urwał nagle.

Bo mnie upokarza, dodał w myślach.

- Niepotrzebnie się pan unosi - głos dyrektora brzmiał spokojnie i pewnie. - Nikt tu nie chce pana skrzywdzić, zapewniam. A pozór, jako fasada przesłaniająca rzeczywistość trudną do przełknięcia, czasami bywa błogosławieństwem, Natanielu.

- Tylko dla słabych lub podłych, doktorze Lampet.

Lekarz nie odwrócił głowy. Powoził, spokojnie ćmiąc cygaro.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się po chwili. - Dlaczego pan się tu znalazł? I co pan robił w czasie ostatnich kilku miesięcy?

Nataniel milczał.

Bryczka, kolebiąc się na wybojach, wjechała w las.

* * *

Zadrzał, gdy tylko usłyszał cen przejmujący, tęskny, nieludzki śpiew.

- O słodki czasie, który odszedłeś, we mgle, we mgle...

Tak mógł śpiewać anioł, który zagubił drogę do raju. Słowa powtarzały się ułożone w bolesną, nieznośną mantrę.

- O słodki czasie...

Czysty jak szkło żeński głos zawodził w lesie, przepelniony najgłębszą rozpaczą. Nawet gałęzie zdawały się pochylać z uwagą, klonić ze współczuciem pęki liści. W dusznym upale południa ten wibrujący smutkiem, czarowny ton wydawał się głosem z innego świata.

Z głębin Tartaru, pomyślał Nataniel i znów się wzdrygnął.

Doktor zdawał się nie słyszeć jęklivego zaśpiewu, koń też człapał cierpliwie, całkowicie obojętny. Kościsty zad z wiechciem ogona poruszał się miarowo w ramie dyszli.

Głos był coraz bliżej. Nataniel starał się zachować spokój, ale mimowolnie kręcił głową, wlepiając wzrok w gęstwą krzaków. Chybaby się nie zdziwił, gdyby spomiędzy zieleni wychyłała trójkątna, blada twarzyczka driady. Lampet zauważył zaniepokojenie pacjenta.

- Regina - mruknął krótko, jakby to wszystko wyjaśniało.

- We mgle, we mgle... - wołała słodko śpiewaczka, a pulsujące upałem serce lasu omal od tego nie pękło.

Lampet nasłuchiwał chwilę, a potem ściągnął lekko lejce i westchnął.

- Znowu daje występy. Boję się, że beze mnie sobie nie poradzą. Proszę poczekać tutaj, dobrze?

Bryczka zatrzymała się ze skrzypieniem, a Cerber natychmiast wyciągnął wąski, żarłoczny pysk do osinowych gałązek zwisających nad drogą. Doktor zeskoczył z kozła, niedbale rzucając cugle, i

spiesznym krokiem ruszył w stronę, skąd dochodził głos.

Nataniel został sam, kolebiąc się na siedzeniu dwukółki, zdany na kaprysy skubiącego liście konia, bo lejce ześlizgnęły się po kościstym boku na piasek. Poczł się nagle nieco skonfundowany, czekając nie wiadomo na co w staroświeckim, chybotliwym pojeździe, niczym Achilles zignorowany przez Hektora.

Tęskny śpiew wciąż dobiegał z gąszczy, przybliżając się, to znów oddalając, wabiący i budzący niepokój. W głębi lasu słycać było nawoływania przynajmniej kilkorga osób.

- Pewnie to poważna sprawa - mruknął Nataniel, trochę do siebie, a trochę do szkapy imieniem Cerber. - Skoro sam Prospero ruszył na łowy. Witamy w domu wariatów, co, stary?

Koń parsknął rozgłośnie.

- O słodki czasie... - zakląkał nagle czarowny głosik gdzieś bardzo blisko, w przydrożnych krzakach. Drobne dłonie rozgarnęły gałązki i na trakt wybiegła odziana w powłóczystą biel kobieta. Za nią na kształt osobliwych skrzydeł powiewał gruby włóczkowy szal w pomarańczowe kwiaty. Twarz miała bladą jak rozwodnione mleko, mysie włosy upięte w niedbały kok. Na wąskim, długim nosie, przecząc prawom grawitacji, utrzymywały się jakoś ogromne rogowe okulary.

Nataniel rozdziawił ze zdumienia usta. Domniemana nimfa okazała się chudą wariatką dobrze po pięćdziesiątce. To, co wziął w pierwszej chwili za koronkową suknię, było w rzeczywistości nocną koszulą.

- We mgle, we mgle... - zanuciła jeszcze nieznajoma, a potem urwała.

Zrobiła parę tanecznych kroków i znalazła się tuż obok bryczki. Uniosła głowę, z natężeniem wpatrując się w twarz mężczyzny. Widział za szklami jej rozbiegane, ogromne oczy, pływające niczym egzotyczne ryby w za ciasnych akwariach.

- Młodzieńcze! - odezwała się dziwnie zgrzytliwym głosem, jak na kogoś, kto przed chwilą wydobywał z gardła tak czarowne tony. - Czy ty także w godzinie próby wybrałeś mrok zamiast światłości?

Nataniel otworzył usta, ale nie zdobył się, żeby wykrztusić choć słowo. Nie miał pojęcia, jak rozmawiać z szaleńcami.

Ale niedługo będzie musiał się nauczyć, uświadomił sobie w nagłym przebłysku, który nadszedł jak wstrząs. Bo to będzie teraz jego jedyne towarzystwo. Mimo upału poczuł dreszcz chłodu na plecach.

Wariatka w nocnej koszuli wciąż z napięciem świdrowała oczami twarz mężczyzny.

- Czy wybrałeś mrok? - powtórzyła.

Z tyłu, za bryczką, zaszeleściły krzaki.

- Regino, uspokój się, proszę! - ozwał się stanowczy żeński głos.

Nataniel odwrócił głowę. Na drodze stała wysoka młoda kobieta ubrana w brązową sukienkę. Bardzo ładna kobieta. Dyszała lekko, jak po długim biegu. W ciemne, starannie związane włosy wplątało się kilka sosnowych igieł. Równe, wyraźne smugi brwi marszczyły się gniewnie, w oczach o głębokiej barwie mokki widać było irytację. Pełne piersi, ściśnięte materiałem sukienki, falowały niczym wzburzone morze.

- Na miłość boską! Szukamy cię już od świtu! Zostaw natychmiast tego miłego pana i chodź ze mną do domu. Wszyscy się zamartwiają. Pan wybacz - zwróciła się do Nataniela. - Regina, jak by to powiedzieć, bywa bardzo nie zrównoważona. I jeszcze ten upał! Potęguje objawy.

Zdecydowanym ruchem ujęła śpiewaczkę pod ramię.

- Nie ociągaj się, moja droga. Na dziś wystarczy, uwierz mi, proszę.

Wariatka ruszyła niechętnie, ale nagle targnęła ręką, odwracając ku Natanielowi twarz.

- Mrok jest w nas! - krzyknęła rozzdzierająco. - W tobie także! Zobaczysz! Kiedy tylko nadejdzie Czas Mgieł!

- Regino, dosyć! - zagrział ostry głos doktora Lampeta.

Dyrektor kliniki wyłonił się z chaszczy z twarzą raczej zasmuconą niż gniewną. Jednak wariatka skuliła się, spuściła wzrok i natychmiast umilkła.

Lekarz westchnął.

- Dlaczego nie pozwalasz sobie pomóc? - odezwał się cicho. - To już tyle lat, Regino.

Po bladych policzkach kobiety zaczęły płynąć łzy. Stała nieruchoma, otulona pomarańczowym szalem, niczym szalona, dawno zapomniana bajkowa królowa, po którą nie zgłosił się żaden dzielny rycerz.

- Dziękuję ci, Letycjo - zwrócił się do dziewczyny. - Pielęgniarki już tu idą. Zaraz się nią zajmą.

Skinęła tylko głową, puszczając ramię chorej.

- Widzisz, co narobiłaś? - burknęła z wyrzutem. - Przez ciebie mam teraz pełno piasku w butach. Nawet nie wiesz, jak to okropnie uwiera!

Pochyliła się i balansując na jednej nodze, zaczęła ściągać brązowy, lakierowany trzewik.

Zażenowany całą sytuacją Nataniel siedział wysoko na koźle, czując się trochę jak duch unoszący się ponad jakąś sceną z innego czasu.

Gdzie ja trafiłem? - pomyślał ze zdumieniem.

Lampet obrócił na niego ciemne, głębokie oczy.

- Przepraszam za zamieszanie. To się zdarza w naszej pracy, rozumie pan. A Regina jest naprawdę ciężkim przypadkiem. Upewnię się, że pielęgniarki nadchodzą, i zaraz ruszamy.

Rzeczywiście nadchodzili, a raczej biegli. Nataniel widział ich z wysokości bryczki. Trzech rosnących młodych ludzi w białych kitlach, o nieruchomych, uderzająco regularnych rysach cherubów. Gdyby nie różnił ich kolor włosów, wyglądałoby jak bracia bliźniacy.

- O, są! - ucieszył się doktor. - No to możemy jechać.

Podjął wodze i wskoczył na kozioł.

- Do zobaczenia na kolacji, Letycjo. Nie zapomnij o popołudniowych zabiegach - rzucił, cmoknąwszy na konia.

Ciemnowłosa kobieta znów tylko skinęła głową. Dom wariatów to istny dom wariatów, pomyślał sobie Nataniel i uśmiechnął się lekko.

- Pan nic nie mówi? - spytał doktor. - Nie chce pan żadnych wyjaśnień?

Pacjent wzruszył ramionami.

- Co tu wyjaśniać? Ta biedna kobieta jest psychicznie chora. Ja nie lubię dużo gadać, doktorze. Dobrze mnie nauczono dyskrecji - mruknął, zanim zdążył ugryźć się w język.

Na ustach dyrektora pojawił się krzywy uśmiešek.

- Ano, jak pan chce. W końcu milczenie złotem.

Nie odezwał się już, tylko klasnął lejcami o kościsty grzbiet Cerbera, zmuszając go do słabego truchtu.

* * *

„Purpurowa Magnolia” zupełnie rozmijała się z wyobrażeniami Nataniela na temat kliniki psychiatrycznej. Główny pawilon przypominał płaską, rozległą willę zagubioną w środku lasu. Na mieszkania dla pacjentów przeznaczono bliźniacze drewniane domki niedbale rozrzucone po terenie ośrodka. Wielkie werandy i wykończenia w stylu kolonialnym nadawały całości wyglądu

staroświeckiego kurortu, który potęgował jeszcze budynek term, wyglądający jak dziewiętnastowieczna pijalnia wód.

Jasnowłose młody pielęgniarz imieniem Ambroży z uprzejmą obojętnością poniósł walizkę Nataniela do wyznaczonej kwatery. Nowy pacjent z ociąganiem oddał bagaż w obce ręce. W końcu w środku znajdowało się wszystko, co wiązało się z przeszłością. Tą opalizującą plamą, która rozlewała się w jego mózgu niczym zakola rzeki Lete.

Domek, położony w głębi lasu, z dala od głównego budynku kliniki, okazał się wygodny i schludnie urządzone. Z szerokiej werandy dwa wejścia prowadziły do dwóch oddzielnych kwater. Natanielowi przypadły drzwi opatrzone mosiężną tabliczką „16 B”. W środku przez niewielki korytarzyk przechodziło się do sporej sypialni, z oddzielną łazienką, za którą nowy pacjent podziękował w duszy dobrym bogom.

Ambroży poinformował gościa, kiedy zaczyna się kolacja, a potem zostawił go samego. W pokoju stało zaledwie kilka sprzętów. Żelazne łóżko nakryte włóczkową kapą, dębowy stół z dwoma krzesłami, mała etażerka i szafa wtłoczona w kąt obok drzwi do łazienki. W przeciwległym rogu rozpiekał się duży piec z zielonych kafli. Całość rzeczywiście sprawiała wrażenie pokoju w pensjonacie, a nie pustej, cuchnącej moczem, zakratowanej celi z koszmarów Nataniela.

W łazience znajdowała się niewielka żeliwna wanna na lwich nóżkach, kwadratowa umywalka i sedes z drewnianą deską, wszystko wypucowane na wysoki połysk. Pod sufitem, na kształt złocistego gniazda os, wisiał mosiężny baniak do grzania wody. W wysokiej białej szafce z oszklonymi drzwiami leżały równo poukładane ręczniki, piżamy, zmiana pościeli, a nawet szary, kosmaty szlafrok. Na półeczce przy lustrze czekały nowe przybory do golenia.

Nataniel wrócił do pokoju, otworzył szafę. W jej wnętrzu, tak jak się spodziewał, znalazł czyste, nieużywane ubrania i buty. Nie musiał nawet przymierzać. Był pewien, że rozmiar pasuje.

Usiadł ciężko na łóżku, aż skrzypnęły sprężyny.

Czemu to robią? - zastanawiał się gorączkowo. Myślą, że się nabiorę, że zacznę mówić? Uwierzę, że z nich takie dobre wujki?

„Rozumiecie, trzeba przecież zacząć żyć od nowa. Każdy ma prawo do błędów, zwłaszcza taki młody. My pomożemy wam, jeśli i wy nam pomożecie. No, to jak będzie?”

Nataniel zacisnął pięści.

- Niedoczekanie! - warknął zdławionym głosem. - Ot, tyle będzie, kanalie!

Już dawno się zdecydował. Żadnej zdrady. Nawet gdyby mieli wywlec go stąd siłą i wpakować za kraty. Może i był słabym człowiekiem, ale nie draniem.

Nabrał głęboko powietrza, próbując się uspokoić. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział jego wzburzenie. Jeśli mają ochotę bawić się w te pozory, proszę bardzo. W ten sposób niczego z niego nie wyciągną.

- No, stary - uśmiechnął się z goryczą. - Nie jest źle. Ciesz się z tego, póki możesz.

Zerknął na stojącą pośrodku podłogi walizkę. Nagle wydała mu się złowroga jak odbezpieczony granat.

W środku wcale nie ma ubrań, przemknęło mu przez myśl. Nie ma, skoro wszystko tu na mnie czeka. Więc co jest? Martwe zwierzę? Zdjęcia zmasakrowanych przyjaciół? Kopie protokołów z obciążającymi zeznaniami? Zakrwawiona biżuteria matki, strzaskany zegarek ojca? Nie wiedział nawet, czy jego bliscy żyją. Nie pamiętał, czy miał jakichś przyjaciół. Ale wszystko mogli mu wmówić.

Zadrzał.

Jedno było pewne. W walizce czyhała przeszłość.

Ukląkł obok bagażu, ostrożnie dotknął metalowych okuć zamka, jakby obawiał się, że porazi go prąd. Drżącymi palcami nacisnął zapadkę. Rozległo się głucho „klik”, serce Nataniela zatrzymało się na mgnienie zwane wiecznością, lecz wieko nie odskoczyło.

Uczuł taką ulgę, aż zawirowało mu przed oczami.

Klucz, zrozumiał. Potrzebny jest klucz.

Przeszukał nerwowo kieszenie, lecz niczego tam nie znalazł. Ulga rozlewała się po zakamarkach umysłu ciepłą, kojącą falą. Nie będzie się przecież włamywać do własnej walizki. Znajdzie kluczyk, a wtedy ją otworzy. Ale nie teraz. Teraz musi się spieszyć na kolację. Nie byłoby w dobrym tonie spóźnić się na pierwszy wspólny posiłek. Nie tak go matka uczyła, prawda?

Zresztą w bagażu na pewno są tylko stare łachy i używane przybory toaletowe. Tak, w tej chwili był tego naprawdę pewien.

Zdecydowanym ruchem wsunął walizkę pod łóżko. Kapa spłynęła na podłogę niczym zasłona miłosierdzia.

Umył ręce, przycesał wilgotnymi palcami włosy i udał się na pierwszą kolację w domu wariatów.

* * *

Zdziwił się trochę na widok siedzącej przy stole dziewczyny w brązowej sukience. Brał ją raczej za asystentkę Lampeta niż pacjentkę. Na jego widok uśmiechnęła się miło.

- O, proszę, znowu się spotykamy? Czy to przypadek, czy już przeznaczenie?

Nataniel obliznął nerwowo wargi. Czuł się mocno skrępowany, stojąc przed zastawionym do posiłku stołem. Wszystkie miejsca poza jednym były już bowiem zajęte.

- Dobry wieczór - bąknął. - Czyżbym się spóźnił?

- Skąd! - zaśmiała się wesoło dziewczyna. - To my przychodzimy za wcześnie. Wie pan, tu nie ma zbyt wielu rozrywek. Nawet zwykła kolacja staje się wydarzeniem towarzyskim. Proszę siadać. Zaraz przyniosą potrawkę. Lubi pan dziczyznę, prawda?

Zachnął się.

- Nie wiem. Nigdy nie jadłem.

Ale patrzyła na niego tak szczerze, że pewnie nie miała niczego złego na myśli. W ciemnych, brązowych oczach płonęły złote ogniki rozbawienia. Zwykłego, dziewczyńskiego, nie ironicznej złośliwości tajniaka.

- No, niechże się pan nie dąsa bez powodu. Ja tylko żartowałam. Nie ma mi pan za złe, prawda? Nudno tu trochę, czasem lubimy tak się podroczyć, ale to nic złego. Proszę się nie gniewać. Zostaniemy przyjaciółmi, dobrze?

Oszołomiony skinął głową. Młoda dama trajkotała jak pozytywka. Za to pozostali milczeli, a wyrazy ich twarzy nie wydawały się wcale przyjemne. Niektórzy goście w ogóle zdawali się pozbawieni mimiki. Jak na przykład ten zgarbiony chłopak w rogu. Z uwagi na wielkie, nieruchome oczy przypominał wypchaną sowę. Nie poruszał się, tępo wpatrzony w talerz. Obok niego siedziała Regina, mroczna w czarnej, zapiętej po szyję sukni, odziedziczonej chyba po babce. Nawet skinieniem nie dała poznać, że przypomina sobie Nataniela.

Tuż przy niej, wyprostowany jak kij, tkwił starszy siwy mężczyzna ubrany w mundur pułkownika armii austriackiej z czasów pierwszej wojny światowej. Sumiaste wąsy zdobiące jego oblicze miały jakiś nieprzyjemnie zielonkawy kolor.

Druga młoda dziewczyna, skubiąca nerwowo brzeg serwetki, była dziwnie podobna do tej w

kolorze kawy, ale wyglądała jak jej blady, wyprany z kolorów cień. Rysy twarzy wydawały się nieprzyjemnie wyostrome, nos za długi, a górna warga brzydko wywinięta do góry. To, co u jednej wyglądało ponętnie, odstręczało u drugiej. Nie, biała, przezroczysta niemal dziewczyna nie była wcale szpetna, tylko nijaka. Nie przypominała karykatury „brązowej”, lecz raczej nieudany portret, jakby natura włożyła tyle wysiłku w ukształtowanie rysów i sylwetki starszej siostry, że nie starczyło jej już sił na kolejną. Bo dziewczęta niewątpliwie były siostrami. A ta, którą Lampet nazwał Letycją, wydawała się liczyć o kilka lat więcej.

U końca stołu siedział jeszcze zażywny mężczyzna W średnim wieku, mocno przypominający wieprza. On jeden patrzył na przybysza mniej więcej przytomnie.

Słodki Jezu, co za panoptikum, pomyślał Nataniel z lekką zgrozą. Dzięki ci, Panie, chociaż za tę dziewczynę w brązach, wszystko jedno, na jaką cierpi przypadłość. Mam nadzieję, że jest, dajmy na to, nimfetką.

- Myśmy się już poznali z panem - kontynuowała z ożywieniem Letycja. - Wczesnym popołudniem, w lesie. Można powiedzieć, że to on właściwie odnalazł Reginę. Jesteśmy naprawdę wdzięczni, bo cały ranek odchodziliśmy od zmysłów.

- Och, nie - zmieszał się Nataniel. - Nie ma w tym żadnej mojej zasługi. Po prostu pani Regina przez przypadek wyszła na drogę, gdzie akurat ja...

Wyblakła siostra pociągnęła za serwetę tak gwałtownie, aż zabrzączały talerze.

- Auroro, na rany Chrystusa! - krzyknęła Letycja z furją. - Nie możesz choć trochę uważać? Jak można być taką niezgrabną! Przestańże dziwaczyć! Przywitaj się z panem. Czy ja wieszcznie muszę się za ciebie wstydzić?

Nataniel dziękował Opatrzności, że jeszcze nie podano żadnego dania, bo gdyby w tej chwili coś jadł, z pewnością by się zakrztusił.

- Nie trzeba, panno Auroro... - zaczął, ale młoda kobieta podniosła się omdlewającym ruchem z krzesła i szurnęła nóżką, robiąc dyg. Na jej twarzy malowała się *zupełna apatia*.

- Dobry wieczór - szepnęła, krzywiąc się, jakby mówienie sprawiało jej ból.

Nataniel zerwał się z miejsca, potrącając stół i wywracając pustą na szczęście szklankę. Próbował spiorunować wzrokiem Letycję i ze zdumieniem stwierdził, że podła kawowa żmija chichocze.

- Panno Auroro, nie trzeba! Niechże pani siada! - plątał się, podczas gdy dziewczyna stała nadal nieruchomo, jakby zapomniała, po co wstała.

- No, co to za zamieszanie? - rozległ się za plecami Nataniela oschły starczy głos. - Niech siada porządnie za stołem! To nie czas na jakieś tańce czy co!

W progu stała skurczona staruszka w stroju ni to pielęgniarki, ni to pomywaczki. Szeroki biały kitel właściwie włókł się za nią po podłodze. W rękach trzymała parującą wazę.

- Pani Augustowo - uśmiechnęła się słodko Letycja - ten pan jest nowy. Proszę się na niego nie dąsać.

- Nowy nie nowy - burczała wiekowa służąca. - Niech no nie robi zamieszania. Niech siada i je jak człowiek. Aurora też.

Dziewczyna posłusznie klapnęła na krzesło. Nataniel poszedł w jej ślady.

- Już siedzi - warknął, przypatrując się jadowicie Letycji. - I co? W porządku?

W odpowiedzi wykrzywiła się złośliwie i byłby skłonny przysiąc, że pokazała mu koniuszek różowego języka.

Kolacja wlokła się jak męki Tantała. Po mdłej potrawce z czegoś, co z pewnością nie było dziczyzną, lecz raczej mocno posuniętą w latach nioską, Augustowa przyniosła chleb i półmisek przesuszonych wędlin. Nataniel wcale nie miał apetytu. Chciało mu się tylko pić, lecz zbożowa kawa

z mlekiem smakowała jak wygotowana ścierka.

Rozmowa się nie kleiła. Przez cały czas brylowała jedynie Letycja, wieprzopodobny jegomość ograniczył się do kilku zdawkowych pytań, po czym umilkł. Nowy pacjent dowiedział się, że jego rozmówca ma na imię Albert, pułkownik nosi nazwisko Rychter, a katatoniczny młodzieniec nigdy się nie odezwał, dlatego pozostaje bezimienny. Być może przedstawiono go kiedyś, lecz dziś nikt już nie pamięta jego imienia, więc wszyscy mówią o nim Supeł, bo *jest* taki zasupłany w sobie.

Nim na stole pojawił się deser w postaci placka z jagodami, Nataniel był tak zmęczony, jakby przerzucił wagon węgla.

- Wybaczcie, państwo - powiedział wreszcie. - Muszę odpocząć po podróży. Chyba się zaraz położę. Dobranoc.

Wyszedł odprowadzany kpiącym spojrzeniem Letycji.

* * *

Na dworze zapadł już zmrok. Rozgrzany upałem las parował intensywną wonią żywicy. Nie było jednak tak parno jak za dnia. Nataniel zdecydowanym krokiem skierował się w stronę majaczących w mroku domków, żeby jak najszybciej oddalić się od głównego pawilonu.

Może i ta mała okaże się nimfetką, pomyślał z niechęcią. Ale zanim się o tym przekonam, zagada mnie na śmierć.

Nim się zorientował, znalazł się głęboko w lesie, przy parkanie ośrodka. Między gałęziami sosen prześlizgiwał się słaby wiaterek. Nataniel przystanął, nabrał głęboko powietrza.

- Jak ja tu wytrzymam? - szepnął do siebie. - W końcu sam przecież oszaleję.

Nie zauważył w ciemności najmniejszego ruchu. Trzask pocieranej o draskę zapalki i mdły złoty płomyk po prostu wygenerowały się z mroku. Nataniel drgnął. Obecność drugiego człowieka w tym cichym, odległym miejscu wydawała mu się jakimś paskudnym żartem losu.

W pierwszej chwili chciał po prostu odejść, ale jarzący się czerwony koralik papierosa miał hipnotyczną moc, niczym wabik głębinowej ryby.

- Piękna noc, prawda? - zagadnął, tłumacząc sobie, że nieuprzejmie byłoby tak uciec bez słowa.

- Spokojna - odezwał się żar cicho i przygasł, stłumiony, jakby zakryty dla ludzkich oczu.

Nataniel wyteżył wzrok, ale zobaczył tylko czerwony poblask.

Jakbym gadał z kwiatem paproci, przeleciała mu przez głowę bezsensowna myśl. Stał bezradny, zdezorientowany, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zaczął żałować, że w ogóle się odezwał.

- Zapali pan? - zapytał uprzejmie żar, wybawiając go z opresji.

- Chętnie, dziękuję - przyznał z ulgą.

- Proszę do mnie podejść. W trawie leży zwalony pień, można na nim wygodnie usiąść. Tylko niech pan uważa na wykrot. Mniej więcej pół metra stąd, po lewej.

Głos był pewny, stanowczy, jakby przywykły do wydawania poleceń.

Nataniel ruszył ostrożnie.

- Nie, bardziej w prawo! Tuż koło pańskiego buta jest wystający korzeń. Radzę zrobić duży krok.

Widzi w ciemności, suczy syn? - zdziwił się Nataniel. Cholera, może to jakiś tajniak. Czemu nie mogłem siedzieć cicho?

Ale ciekawość okazała się silniejsza od ostrożności. Zresztą jeśli to tajniak, i tak będzie musiał znieść jego obecność. Zawsze lepiej załatwiać takie sprawy na odludziu, bez świadków.

Teraz widział już w ciemności majaczącą sylwetkę mężczyzny. Wymacał szorstką korę pnia i usiadł obok.

- Proszę - powiedział obcy, podsuwając mu paczkę papierosów.

Nataniel z wahaniem sięgnął po jednego. Wcale nie był wyschnięty i wiotki, jak się obawiał. Znow zgrzytnęła draska. W migotliwym świetle płomyka Natanielowi zamajaczyła szczupła, pociągła twarz z oczodołami podmalowanymi cieniem. Jakoś w nagłym przeblysku znajoma, aż serce mocniej zabiło. Tamten jednak wyciągnął ku niemu dłoń i twarz znow cofnęła się w ciemność. Nataniel podsunął się bliżej, aby zaciągnąć się papierosem, przejmując żar, i wtedy zobaczył wyzłocone słabym ognikiem palce towarzysza. Całe poznaczone siatką cienkich białych blizn, jak rozbita i starannie sklejoną farfurka.

Wciągnął gwałtownie powietrze, bo zrozumiał już, gdzie widywał takie twarze. Z pozoru spokojne, zawsze nieco ściągnięte, z lekko przymarszczonymi brwiami i tą nieustanną, niemal zwierzęcą czujnością na dnie oczu. Wieki temu. W lesie. W celi.

Nieznajomy zdmuchnął zapałkę i starannie Wgniół ją czubkiem buta w ziemię. Swój papieros trzymał ukryty głęboko w dłoni, starym, dobrym obyczajem z wojny, żeby żar był jak najmniej widoczny.

- Pan jest tutaj pensjonariuszem? - ośmielił się zapytać Nataniel.

Mężczyzna skinął głową i chyba się uśmiechnął.

- Jeśli można tak to nazwać.

- Nie widziałem pana na kolacji.

- Ja niewiele jem. Nie przepadam też za gwarem. Na szczęście nikt mnie nie zmusza. Doktor Lampet potrafi być wyrozumiały. To dobry lekarz, proszę mi wierzyć. Tylko nosi się jak szarlatan. A pan tu nowy, prawda?

- Tak, dzisiaj przyjechałem.

- To nie jest złe miejsce. Bywają gorsze.

Nataniel spróbował dojrzeć w ciemności wyraz twarzy towarzysza, ale widział tylko ciemną plamę.

- Czemu pan mi to mówi? - szepnął.

Zdawało mu się, że cień wzruszył ramionami.

- Może żeby przekonać samego siebie. Może żeby ostrzec pana przed robieniem głupstw. Kto wie. Czasami samemu trudno się połapać. Mam wrażenie, że obaj przeżyliśmy za wiele. Jakby tym naszym życiem dało się obdzielić przynajmniej kilku ludzi. No, niech pan tak nie patrzy. Przecież wie pan, o co mi chodzi. Pan jest jeszcze młodym człowiekiem. I ja też. Podobno.

Nataniel nie potrzebował światła, żeby wiedzieć, że tamten się uśmiecha. Gorzko, jak starzec. Nabral głęboko powietrza, niczym pływak decydujący się rzucić do lodowatej, głębokiej wody.

- Czy my znaleźliśmy się przedtem? - wyszeptał jednym tchem. - Czy pan mnie poznaje?

Tym razem mrok naprawdę się roześmiał.

- Nie, bracie. Nie poznaję. Ale znam. I ciebie, i wielu takich jak ty. Widzę ich wszystkich w lustrze podczas golenia. Czy to nie wszystko jedno, jak cię zwali? Bystry? Ciemny? Cichy?

Nataniel drgnął, jakby nagle ugodził go prąd.

- Skąd... skąd wiesz? - wydyszał.

Nieznajomy wstał.

- Wcale nie wiem. I ty też nie wiesz. Tak ci się teraz zdaje. Tak sobie roisz, wymyślasz, naprędce zalepiając dziury. Dam ci jedną radę. Nie spiesz się. Pozwól czasowi płynąć. I nie otwieraj walizki, póki nie będziesz naprawdę gotowy.

Tym razem Nataniel zerwał się z miejsca. Wyciągnął ręce, żeby schwycić rozmówcę za ramiona, ale napotkał tylko pustkę.

- Zaraz! - krzyknął. - Skąd wiesz o walizce?! Dlaczego to powiedziałeś?

Jednak ciemność się nie poruszyła. Czerwony poblask papierosa rozmył się niczym zgasty błędny ognik. Wiatr szumiał w gałęziach sosen, poza tym panowała zupełna cisza. Nieznajomy znikł, jakby rozpułynał się w mroku nocy.

Nataniel zacisnął pięści.

- Zaczekaj! - zawołał w kierunku czarnej ściany lasu. - No, czekajże, draniu! Skąd wiesz o walizce?! Skąd wszystko wiesz?! Wracaj!

Ale odpowiedziała mu tylko cisza.

* * *

Spał niespokojnie. Prześladowały go dręczące koszmary, strzępy wspomnień, obrazy pełne ognia i krwi. Pojawiały się w nich twarze, okropne, zmasakrowane, martwe. Czasem prawie je rozpoznawał, odnajdywał w pokiereszowanych obliczach rysy przyjaciół i bliskich, ale zaraz znów wszystko zapadło się w ciemności. Mary przepływały przed jego oczami, raz wykrzywione w oskarżycielskich grymasach, raz blade, milczące, obojętne. Szlochał, tłumaczył, przeproszał kogoś, z sercem pękającym od bólu i smutku, lecz nie miał pojęcia, czemu czuje się tak podle i na czym miałyby polegać jego wina. Przecież nie skrzywdził nikogo. Nikogo, na pewno. Rzucił się w dręczącym majaku, mamrotał coś, usprawiedliwiał, powtarzał w kółko i w kółko, zlany potem w duszącym upale nocy. Ale wciąż nie mógł zaznać ulgi.

Budził się kilka razy i wtedy, w nieprzytomnym widzie na granicy mroku i snu, słyszał za ścianą szept. Monotonny, płaczący monolog, w którym jak smutny refren powtarzały się jedyne wyraźnie słyszalne słowa: „Niech mama zrozumie, niech mama zrozumie... No co ja miałem zrobić?”. I tak bez końca, niczym stukot wagonu po szynach, odgłos pociągu krążącego po pustych bocznicach objętego utratą pamięci umysłu.

Rano zwiłkł się na śniadanie rozbity, niewyspany, niespokojny. Nie miał wcale apetytu, liczył jednak, że spotka nieznajomego z lasu. Jednak w jadalni zastał tylko Aurorę i Reginę. Ledwo uchylił drzwi, starsza kobieta porwała się z krzesła, przyciskając dłonie do piersi. Za szklami okularów blade akwariowe ryby wpadły w panikę.

- Czy oni idą?! - zaskrzybiała zgrzytliwym szeptem. - Niech pan powie prawdę! Czy idą? Boże jedyne, niech pan nie kłamie! Idą, prawda?!

Aurora grzebała widelcem w talerzu, nie zwracając na wariatkę najmniejszej uwagi, więc Nataniel z niechęcią zmuszony był odpowiedzieć:

- Kto, pani Regino? Tu nikogo nie ma.

Oddychała płytko, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Proszę... nie drwić... Oni, Niemcy przecież... Niemcy!

Łyżka ciśnięta na podłogę zabręczała ostro.

- Och, daj już spokój! Niemcy i Niemcy! Nie ma żadnych Niemców! Poszli sobie, bardzo dawno temu! - Twarz Aurory wykrzywiła się ze złością. - Teraz jest towarzysz Bierut. I towarzysz Stalin, nasz słodki wybawca. Nowy świat budujemy, głupia! Świat równości i sprawiedliwości społecznej dla mas robotniczo-chłopskich. To się teraz liczy! A tobie tylko Niemcy w głowie! Szwarcecharakter hende hoch! Przestań wreszcie, bo cię uduszę!

Nataniel zamarł w progach z głupią miną. Nie potrafił uwierzyć, że Aurora jest w stanie wygenerować z siebie tyle emocji. Wczoraj wydawała mu się pusta i sflaczała jak wydmuszka z węzowego jaja. Nie podejrzewał, że wie, jak trafić do swojego bungalowu, a co dopiero, że

orientuje się w aktualnej sytuacji politycznej. Nie umiał też odczytać z tonu głosu, czy kpi, czy też jest czerwona jak słońce o zachodzie.

Tymczasem Regina opadła na krzesło, wyraźnie uspokojona.

- Już po łapance - wyszeptwała z ulgą. - Dzięki Ci, Najświętsza Panienko i Józefie Święty.

Dziewczyna zwróciła na mężczyznę podejrzliwe, nieprzyjemne spojrzenie.

- Czego tak stoisz? - warknęła zaczepnie. - Nie ma na co się gapić! Idź sobie!

- Przyszedłem na śniadanie - powiedział Nataniel, który starał się zachować spokój. - Chyba mogę coś zjeść, prawda?

Parsknęła pogardliwie.

- Śniadanie dawno się skończyło. Teraz wszyscy są na zabiegach. Trzeba było przyjść rano, jak inni.

- Rano byłem zajęty, księżniczko - warknął rozzłoszczony.

- Pewnie - parsknęła. - Jak każdy tutejszy wariat.

- Facet z bliznami na dłoniach też? - wypalił, licząc, że zbije ją z tropu.

Podniosła na niego wodniste, brązowoszare oczy.

- Tu nie ma takiego - burknęła, obojętniejąc nagle. - Nikogo nie ma poza bandą szaleńców i moją przekłętą siostrą. Niech mnie pan zostawi. Niech pan idzie. Pewnie już pana szukają. Musi pan zacząć kurację.

- A pani nie musi?

Wzruszyła ramionami.

- Co pan o tym wie? Może Regina jest moją kuracją? Co to właściwie pana obchodzi? Spóźnił się pan na śniadanie, to teraz nie ma tu czego szukać.

Podniosła ze stołu widelec i zaczęła paznokciami przebierać po zębach, jakby spodziewała się, że zagra niczym harfa. Rozmowa zupełnie przestała ją obchodzić.

Za miła to ty nie jesteś, księżniczko, pomyślał Nataniel.

Odwrócił się, żeby wyjść, kiedy skrzypnęły drzwi. Regina podskoczyła na krzesło, przyciskając dłonie do chudego mostka.

- Niemcy! - zapięła z rozpaczą. - Boże, miej nas w opiece!

Ale to był tylko pielęgniarz Ambroży, który szukał Nataniela.

* * *

Orzechowe biurko doktora Lampeta miało kształt nerki i rozmiar polowego lotniska. Nataniel przetaił zmęczone oczy. Miał wrażenie, że siedzi w gabinecie dyrektora całe wieki. Mimo otwartych okien duchota była nie do wytrzymania. Z białej brytfanny nieba lał się do wnętrza budynku roztopiony ołów upału.

- No dobrze - mówił doktor Lampet. - Proszę się skoncentrować. Co to jest, według pana?

Nataniel obracał w palcach krótkie metalowe ostrze osadzone w poprzecznej rękojeści z drewna. Zamknął dłoń, pozwalając, żeby metalowy trzpień znalazł się między palcami. Wystawał z pięści niczym pojedynczy zaostrzony szpon.

- Broń. Chyba rodzaj noża. Nigdy takiego nie widziałem. Może być pomocny w walce wręcz, w sprawnych rękach pewnie lepszy niż kastet. Jest w stanie głęboko pokaleczyć, zadając zarówno rany cięte, jak i kłute. W pewnym sensie to musi być rodzaj sztyletu. Wygląda na bandycką broń. Łatwo go ukryć w dłoni, łatwo użyć niepostrzeżenie. Idealny dla bańdziorskich porachunków. Chyba że został opracowany dla komandosów, do akcji dywersyjnych, ale raczej wątpię. Ja nie umiałbym się tym

posłużyć.

Oczy Lampeta były jak dwa stawy nocą. Głębokie i nieprzeniknione.

Doktor westchnął, wyciągnął rękę. Nataniel położył nóż na otwartej dłoni dyrektora kliniki.

- Niech pan się uważnie przyjrzy, dobrze? Nie widzi pan spiralnego karbowania? I rączki, którą łatwo jest kręcić, żeby potem pociągnąć w górę?

Widział. Oczywiście, że widział. Teraz. Nie przedtem. Przedtem trzymał w palcach dziwny nóż.

Oblizwał wyschnięte nagle wargi.

- No, co to jest, Natanielu? - naciskał Lampet.

Korkociąg. To był zwykły korkociąg. Na litość boską, przecież nie mógł się tak pomylić! Ten cały doktor pewnie ukrył w rękawie nóż, a potem podmienił na ten cholerny korkociąg. Innego wyjścia nie było.

Popatrzył w spokojną, skupioną twarz lekarza. Nie Wyglądał na kogoś, kto kpi w ten sposób z pacjenta.

Uspokój się, nakazał sobie Nataniel. Inaczej wpadniesz w paranoję.

- Nie wiem, jak to się stało - powiedział szczerze. - Byłem pewien, że widzę broń. Dotykałem jej.

Klinga była bardzo ostra. Widziałem nóż, panie doktorze.

- Wierzę, że pan widział - zgodził się Lampet. - W tym właśnie tkwi problem. Musi się pan nauczyć postrzegać rzeczy takimi, jakimi są naprawdę. Inaczej pamięć nie wróci. Możemy kontynuować?

Nataniel w milczeniu skinął głową.

Upalne, rozprażone dni wlokły się monotennie. Rozkład dnia wyznaczały zabiegi, posiłki, wieczorna cisza. Sanatoryjna nuda przerywana od czasu do czasu występami Reginy. Stara kobieta, która ponoć całe życie przepracowała jako bibliotekarka, wyrzucała z siebie niekończące się cytaty z klasyków, ni z tego, ni z owego zaczynała śpiewać przedwojenne szlagiery albo demolowała jadalnię w poszukiwaniu kryjówki przed Niemcami. Wydawała się Natanielowi najbardziej szaloną pensjonariuszką „Purpurowej Magnolii”.

Oczywiście, oprócz Supła. Ale chłopak był tak cichy i nieobecny, jakby w ogóle nie istniał. To, że dzieli z nim bliźniaczy domek, Nataniel odkrył dopiero po jakimś czasie. Przez nocne szepty. Monotonne, pełne rozpacz monologi, powtarzane niczym jakaś okropna litania do szalonej Matki Boskiej. „Mama zrozumie, mama zrozumie! No co ja miałem zrobić?!” I tak w kółko, póki mrok roztaczał nad „Magnolią” swoje władanie. Nataniel przewracał się w pościeli, starając się nie słyszeć tego żalosego głosu, ale płacziwe wyznanie nie dało się ignorować. Przez jakiś czas sądził, że padł ofiarą koszmarów, że prześladują go złe sny, a w głębokiej ciemności nocy, senny i rozbity, dopuszczał nawet myśl, że słyszy ducha poprzedniego lokatora. W końcu jednak doszedł do wniosku, że to żywy człowiek, któryś z pensjonariuszy. Nie wierzył, że te szlochy wydaje z siebie tajemniczy partyzant z lasu. Nie ktoś z taką twardą twarzą, żelaznym głosem i oczami samotnego wilka. Więc kto? Kolejny dziwny pacjent nieobecny na posiłkach i grupowych zajęciach?

Ujrzawszy chłopaka mozolnie, noga za nogą, zmierzającego do pokoju z tabliczką „16 A”, przeżył przykre rozczarowanie. Supel walczył z przestrzenią, poruszając się w nienaturalnie ociężały sposób, jakby włókł za sobą metalowe kule na łańcuchach, żeby w końcu otworzyć drzwi i zapaść w mrok swojej kwatery.

Przecież on nie mówi! - stwierdził poirytowany Nataniel, wciąż jeszcze zawiedziony osobą swego sąsiada. Jak może tak gęgać do świtu?!

Ale wieczorem musiał zmienić zdanie. Supel rozpoczął conocny jękliwy monolog jakąś godzinę po zmierzchu.

W ciągu dnia, jeśli akurat zajmował swoją kwaterę, siedział nieruchomo na krześle. Zupełnie jak sklepowy manekin. Mający przez szpary w firankach sztywny, wyprostowany kształt. Wydawał się bardziej martwy od mumii, więc zaniepokojony mieszkaniec sąsiedniego pokoju zaczął odruchowo zerkać w okna obok. Kilka razy zastukał we framugę, ale nie otrzymał odpowiedzi. Supeł trwał nieporuszony, wlepiając w przestrzeń oczy wypchanej sowy.

Pewnego razu Nataniel ośmielił się wejść do mieszkania sąsiada, bo chłopak tkwił na posterunku przy stole z jakoś nienaturalnie wykrzywioną głową. Wyglądał, jakby miał skręcony kark. Nowy pensjonariusz przez chwilę dobijał się do szyby, a potem, tknięty niedobrym przeczuciem, zaczął stukać w drzwi.

Co z nim? Umarł czy jak? - pomyślał. Udławił się własną śliną albo doznał udaru? Cholera, przecież sam nie odkręcił sobie łba! A może któryś z pozostałych szaleńców zamordował go w schizofrenicznym widzie?

Wzdrygnął się z obrzydzeniem, gdy usłużna wyobraźnia pokazała mu obraz bladych palców Reginy albo krzepkich dłoni pułkownika Rychtera zaciśniętych na szyi nieświadomego, pogrążonego w katatonii Supła. Bez namysłu szarpnął za klamkę. Zamek ustąpił bez oporu, zawiasy skrzypnęły.

Co ja wyrabiam? - przemknęło Natanielowi przez myśl. Wkradam się jak jakiś złodziej. Może powinienem zawiadomić personel? Cholera, dzieciakowi pewnie nic nie jest, siedzi nieruchomo jak każdy katatonik, a nawet jeśli, nie daj Boże, umarł, w niczym mu nie pomogę, tylko narobię sobie kłopotów.

A jednak przestąpił próg. Ganiąc się w duchu za wścibstwo, wślizgnął się do kwatery chłopaka.

- Hej! - zawołał stłumionym głosem. - Nic ci nie jest? Słyszysz mnie?

Martwe, niczym namalowane, źrenice chłopaka wpatrywały się w sufit. Nataniel odruchowo też podniósł wzrok.

I zamarł.

Na białym tynku widniał obraz ludzkiej twarzy. Wykrzywionego złością oblicza staruchy. Starannie, z talentem nakreślony krzepnącą już, zrudziałą krwią.

Ludzką krwią, zrozumiał w nagłym przeblysku.

Obrzydła karykatura, choć z pewnością przedstawiała wizerunek starej kobiety, wykazywała uderzające podobieństwo do rysów chłopaka. Te same cienkie brwi, bulwiasty nos, drobne usta, teraz zaciśnięte w gniewie, cofnięte, miękki podbródek.

- To twoja krewna? - szepnęła wstrząśnięty Nataniel. - Matka? Jak to namalowałaś?

W tej samej chwili, jakby wypowiedział magiczne zaklęcie, rysunek zafalował, rdzawe linie poruszyły się, podobne do kłębiących się w wodzie pijawek, i z białego tynku spojrziała wprost na Nataniela inna twarz, męska. Opuchnięta, pokryta ranami i wybroczynami po licznych ciosach, z zapuchniętym okiem zmrużonym w parodii ironicznego mrugnięcia. Wystąpiła z brzegów sufitu, pochyliła się ku niemu, znów wypełniona ciałem, pokryta skórą. Poczul żelazisty zapach krwi, odór potu. Rozszerzone źrenice patrzyły na niego z pogardą.

Bezwiednie zacisnął dłonie, jakby chciał uchwycić, naciągnąć materię czasu, przywołując zamrożoną w pamięci przeszłość.

Boże, rozpoznawał te rysy. Znał je dobrze. To przecież... Przecież...

Właśnie miał krzyknąć imię, pseudonim, gdy blade światelko wspomnienia, które zapłonęło niespodziewanie w umyśle, zalała czerń. Nic już nie wiedział, nie pamiętał. Gapił się na upiorny, rudziejący pod wpływem krzepnięcia rysunek.

- Jezu Nazareński! - jęknął, a w tym samym momencie martwe oczy Supła spojrzwały na niego przenikliwie.

Nataniel odskoczył o krok, pakując sobie pięść do ust, żeby nie wrzasnąć.

Szalenie ciężkim, omdlewającym gestem wskazał sufit i rozdziawił usta, jakby chciał coś powiedzieć. Spoza bladych warg rozległ się jednak tylko cichy skrzek.

Serce Nataniela waliło jak dzwon na trwogę, gdy zebrawszy wszystkie siły, ośmielił się znów zerknąć na koszmarny portret. Nabrał głęboko powietrza w płuca i ujrzał na białym tynku brzydki rdzawy zaciek, słabo przypominający obraz ludzkiej twarzy.

Kolana się pod nim ugięły, na czoło wystąpił pot. A w duszy ocknęła paskudna, pieniąca się żółcią wściekłość. Że dał się tak nabrać. Że nerwy ma w strzępach. Że znów strach okazał się silniejszy od rozumu. Że jest tylko cholernym wariatem, czubkiem, któremu rzeczywiście należy się dożywotnio miejsce w domu obłąkanych.

Z trudem powstrzymał się, żeby nie uderzyć Supła. Dłonie bezwiednie zaciskał w pięści, mięśnie szczęk drgały nerwowo.

- Czemu tak siedzisz jak kukła! - warknął rozzłoszczony. - Młody, zdrowy wół, a woli udawać sparaliżowanego dziada. Myślałem, że umarłeś! I niewiele się pomyliłem. Taki właśnie jesteś. Trup za życia. Weźże się w garść, chłopie! Co złego mogło cię spotkać? Za młody jesteś na wojnę, na las, na wszystko! Niczego nie przeżyłeś, a pękasz! Niczego, słyszysz?!

Machnął ręką lekceważąco, z wściekłością.

- Głupi, neurotyczny dzieciak! - rzucił na odchodnym i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, odprowadzany bolesnym, pełnym cierpienia spojrzeniem nieszczęsnego wariata.

* * *

Nie chciał wracać do pokoju, trzęsąc się ze złości i żalu, szedł wielkimi krokami w las, próbował się uspokoić, nie wiedząc czemu przekonany, że strasznie go upokorzono. Wkrótce dotarł do płotu ośrodka, ale na zwalonym pniu wygrzewała się tylko maleńka czarna jaszczurka. Usiadł ciężko, ukrywając twarz w dłoniach. Żałował, że tak ostro napadł na Supła. Żałował, że nie urodził się twardszy, kamienny jak ludzie wojny, ludzie współczesnych czasów. Żałował, że się w ogóle urodził, że nie zginął, kiedy trzeba było, jak inni.

Długo czekał, aż uspokoi się wściekłość, a dusza znów otorbi pozorną obojętnością. Chciało mu się palić, pogadać z kimś życzliwym, mądrzejszym, lecz tym razem człowiek-cień nie pojawił się z żarem ukrytym w dłoni.

W końcu powlókł się z powrotem do „Purpurowej Magnolii”, samotny jak nigdy dotąd.

A następnej nocy po raz pierwszy usłyszał szelesty.

Dobiegały z pokoju Supła. Nerwowe, rozpaczliwe, brzmiające, jakby ktoś czołgał się w męce po podłodze, drapiąc paznokciami deski. Towarzyszyły im słabe jęki i stłumiony szurgot przeciąganego po parkiecie ciężkiego tobołu. Jękliwe monologi wreszcie ucichły. Ale te nowe, okropne dźwięki, chociaż ledwo słyszalne, przyprawiały Nataniela o dreszcze.

To pewnie trzeszczą stare belki albo myszy harcuja, uspokajał się w duchu, choć doskonale wiedział, że byłyby to chyba gryzonie z piekieł.

Naciągał kołdrę na głowę, odwracał się od ściany, wściekły, że musi to słyszeć, że boi się zareagować, żeby nie zobaczyć czego? Upiora? Chorego na głowę gołowasa czołgającego się po pokoju w ataku paranoi? Nie wiedział i nie chciał wiedzieć.

Nawet kiedy trzeciej nocy usłyszał wyraźnie przepojony nienawiścią, świszczący, ochrypły głos. Głos starej kobiety.

Nie jestem tu z własnej woli! - pomyślał z rozpaczą i gniewem. Zamknęli mnie siłą, nie pytając o

zdanie! Nikomu niczego nie jestem winien! Nic mnie to nie obchodzi!

Pocił się potwornie pod grubym przykryciem, bezsenne, przepojony głęboką samotnością człowieka pozbawionego pamięci, który utracił nie tylko bliskich i przyjaciół, ale nawet wspomnienia o ich istnieniu, a stara kobieta za ścianą syczała zimne, złe słowa zemsty.

* * *

Ranki, gorące, ociekające słonecznym blaskiem, zmywały nocne koszmary bez śladu, niczym Augustowa mokra szmata plamy z podłogi w jadalni. W świetle dnia Nataniel wcale nie był pewien, czy słyszy za ścianą cokolwiek innego niż korniki lub stare, skrzypiące legary drewnianego domu. Zresztą musiał się zmierzyć ze znacznie poważniejszym problemem. Otóż w „Purpurowej Magnolii” jego kłopoty z pamięcią wcale nie znikły. Mieszała mu się kolejność zdarzeń, dni ciekły przez palce jak gorący piasek. Wkrótce zatracił poczucie czasu. Nie był w stanie powiedzieć, jak długo przebywa w ośrodku. Z pewnością nie więcej niż dwa tygodnie. Wspomnienia znów zlewały się w blade, opalizujące jezioro niepamięci. Lecz chociaż przy kolacji nie potrafił sobie przypomnieć śniadania, istotne wydarzenia tkwiły w jego umyśle mocno i wyraźnie. Jak choćby spotkanie z partyzantem.

Szukał go w każdej wolnej chwili, lecz nieznanemu zapadł się chyba pod ziemię. Wypytywał o niego wszystkich mniej więcej przytomnych pensjonariuszy, ale odpowiadali zdziwionymi uśmiechami albo pobłażliwym skrzywieniem ust.

Letycja zaśmiała się gorzko.

- Nie, Natanielu. Gdyby mieszkał tu jakiś młody, interesujący mężczyzna, na pewno bym go nie przeoczyła. Może pan być pewny.

I odeszła, kołysząc biodrami.

Polubił ją, tę kawową dziewczynę, zawsze wbitą w przyciasne brązowe sukienki. Czasem zdawało mu się, że go uwodzi, a czasem, że tylko się droczy. Wokół niej w powietrzu zawsze unosiło się jakieś dziwne, niemal mesmeryczne napięcie, które w obecności młodszej siostry zamieniało się w magnetyczną burzę. Jak na przykład wtedy, kiedy Aurora zaczęła wrzeszczeć przy deserze.

Prastara posługaczka, depcząc po połach kitla, postawiła na stole szklaną misę z malinową zawiesziną, obwieszczając, że to legumina. Aurora, która swoim obyczajem dziurawiła widelcem serwetkę, uniosła znad stołu obojętny wzrok i zamarła. A potem porwała się z miejsca, sztywno niczym wampir z trumny, wpiła dłonie we włosy i zaczęła krzyczeć. Nataniel nigdy w życiu nie słyszał okropniejszego wrzasku. Twarz dziewczyny zrobiła się upiornie blada, w żrenicach wbitych w miskę deseru szalał strach.

Co ona tam widzi? - pomyślał zaniepokojony i w tej samej chwili zrozumiał.

W półprzejrzystej karminowej zawieszinie pływał ludzki embrion.

Oniemiały z grozy Nataniel potoczył wzrokiem po twarzach współbiedniaków. Oni też widzieli zanurzony w leguminie tułów, skurczone nóżki, nienaturalnie dużą głowę z okrągłymi bielkami oczu i długi, blady strzęp pępownicy. Wystarczył jeden rzut oka, żeby się o tym przekonać. Wszyscy siedzieli bladzi i wstrząśnięci, nie śmiąc się poruszyć, jakby bali się przyznać, że to nie jest jednak koszmarny sen. Nawet rysy katatonicznego Supła wykrzywiało teraz przerażenie.

A Aurora krzyczała.

Wysoki, histeryczny pisk ciął powietrze jak nóż.

- Dość! - rozległ się ostry niczym wystrzał głos Letycji.

Młoda kobieta wstała, jednym ruchem odrzucając krzesło. Jej twarz, także białą jak pergamin,

wykrzywił gniew.

- Tam nic nie ma! Tylko paskudna malinowa galareta! Dobrze wiesz, Auroro! Doskonale wiesz!

Złapała miskę oburącz i z furią cisnęła o podłogę. Czerwona breja rozprysła się po deskach, ostre lodowe odłamki szkła śmignęły we wszystkie strony, jakby uciekały z miejsca zbrodni.

Wrzask Aurory urwał się w pół tonu.

Letycja stała wzburzona, dysząc ciężko, oczami ciskającymi gromy wpatrywała się w twarze obecnych.

- Widzicie? - warknęła. - Nic tam nie ma. Nic!

Rzeczywiście, na podłodze rozlewała się plama leguminy, pełna szkarłatnych przebarwień, śladów po niezbyt starannie rozgniecionych owocach. Pensjonariusze gapili się na nie zakłopotani.

W tej chwili rozległ się głuchy łomot. To zemdląca Aurora. Ciało dziewczyny osunęło się ciężko na parkiet, zaplątane w szkielet wywróconego krzesła.

- Co tak siedzicie? - powiedziała gniewnie Letycja. - Pomóżcie jej!

I wyszła, trzaskając drzwiami.

Jakby na ten sygnał w jadalni rozpętało się nagłe zamieszanie. Wieprzowaty Albert i pułkownik Rychter rzucili się posłusznie ratować Aurorę, z kuchni, lamentując, wybiegła Augustowa, Regina zaniósła się histerycznym szlochem, błagając Najświętszą Panią o ochronę przed Niemcami, a Supeł z otwartymi ustami wpatrywał się w całą scenę, niczym oniemiały głos przeznaczenia z greckiego chóru.

Za Letycją wybiegł jedynie Nataniel.

Siedziała na ganku głównego pawilonu, zanosząc się płaczem. Łzy przeciekały przez palce, ciemnymi plamami moczyły przód sukienki. Piersi, ściśnięte brązowym materiałem, drgały spazmatycznie.

Zawahał się na moment, ale podszedł bliżej.

- Nie trzeba, już po wszystkim - wymamrotał uspokajająco, próbując niezgrabnie objąć dziewczynę.

Rzuciła mu się w ramiona, przylgnęła rozpaczliwie.

- Widzi pan! Widzi! - łkała. - Ona to zrobiła specjalnie! Ona wszystko zrobiła! Mój Boże, to przez nią to wszystko! Ona jest zła, zła do szpiku kości! To potwór, rozumie pan?! Ja nie byłam niczemu winna! Co w tym złego, że lubię się podobać?! My miałyśmy ciężkie życie, ciężkie dzieciństwo... straszne! Ale ja chciałam zapomnieć, bawić się, żyć normalnie, jak człowiek! Przecież jestem młoda! A ona? Ona mnie nienawidzi! Myśli, że coś jej przez to zabrałam, ukradłam! Urodę, szansę, mężczyzn, całą resztę! Pan widzi, jakie to chore? Pan rozumie? Ona to z zazdrości zrobiła! Nie ja! Nie ja! Więc dlaczego...?! O Chryste, słodki Chryste! Czemu byłam ślepa, głupia?! Teraz już za późno! Za późno, rozumiesz?! Na wszystko za późno! Przyjdą mgły! Czuję to! Ona przywołała mgły, podła suka! Specjalnie, tymi histeriami i wrzaskiem! Wiem, że zrobiła to specjalnie! Jak tamto! No co się tak gapisz? Zobaczysz!

Patrzył na nią otwartymi, nic niepojmującymi oczami. Szarpnęła go wściekle za koszulę. W mokrych od łez brązowych oczach znów zabłysła wściekłość.

- Boże! Komu ja to mówię! Oczywiście, że nic nie rozumiesz! Masz mnie za wariatkę, co? Obląkaną nieszczęśnicę, której brakuje piątej klepki? Co ty tam wiesz! Och, dajże mi spokój! Chcę być sama!

Odepchnęła go nadspodziewanie silnie, aż się zatoczył. Wyciągnął do niej ręce, próbował pochwycić cienką brązową kibić.

- Uspokój się, już dobrze. Wszystko w porządku...

- Zostaw mnie! Czego za mną łazisz?! Ja nie chcę! Słyszysz?! - krzyknęła, wyszarpując mu się z ramion.

Zbiegła po schodkach ganku, wciąż zanosząc się szlochem, i uciekła w las, zostawiając osłupiałego Nataniela.

- A to pięknie - mruknął ze złością. - Ale czego się, na boską litość, spodziewałem? Przecież to dom wariatów!

Trzasnęły drzwi od jadalni, w progu pojawił się ciemnowłosy pielęgniarz Cyprian niosący wciąż nieprzytomną Aurorę. Za nim, niczym kondukt z ponurej bajki, postępowali zdenerwowani, bladzi pacjenci. Idący na końcu Albert oderwał się od pozostałych, podszedł do Nataniela. Jego czerstwa, zwykle zaczerwieniona twarz miała teraz kolor popiołu.

- Niech pan na siebie uważa - odezwał się z wielką powagą. - Nadchodzą złe czasy. Niech pan się pilnuje, młody człowieku!

Ścisnął go mocno za ramię i odwrócił się, żeby odejść.

- Zaraz! - zawołał speszony Nataniel. - O co panu chodzi?!

Mężczyzna tylko machnął ręką.

- Sam pan zobaczy - rzucił stłumionym głosem i odszedł.

Nataniel westchnął. Histerie obu sióstr pozostawiły mu w spadku tylko niesmak. Znow poczuł się przeraźliwie samotny, zdany jedynie na swój zawodny, zamroczony amnezją umysł.

Napiłbym się wódki, pomyślał. I zapalił. Albo wyjechał stąd diabli wiedzą dokąd, byle daleko. Choćby i znow do lasu.

Ale las szumiał zwodniczo za płotem ośrodka, bliski, choć przecież niedostępny.

* * *

Z bliska jasnowłosy Ambroży, brunet Cyprian i rudawy Kryspin wcale nie wydawali się podobni. Ot, krzepcy młodzi ludzie w białych uniformach pielęgniarzy. Może niezbyt wylewni, zawsze nieco znudzeni, ale uprzejmi.

Właśnie teraz Kryspin, bazgrzący coś od niechcienia w stercie papierów, pochwyciwszy spojrzenie Nataniela, uniósł głowę i uśmiechnął się lekko.

- Pan skończył? - spytał.

Nataniel zaprzeczył.

- Zamyśliłem się - wyjaśnił.

- Aha - skwitował pielęgniarz, znow pochyłony nad papierami.

Nataniel wrócił do rzędu kolorowych kółek i trójkątów, w którym bezskutecznie starał się dopatrzeć jakiejś prawidłowości. Był zmęczony i chciało mu się spać. Gorące powietrze w gabinecie stało, gęste i ciężkie, jakby było rozgrzanym metalem, nie gazem. Radio szumiało monotonnie, spiker zachłystywał się korzyściami ze współpracy z bratnim Krajem Rad, roztaczając przed słuchaczami świetlaną przyszłość pod skrzydłami batiuszki Stalina i światłym przewodnictwem Komitetu Centralnego z towarzyszeniem Bolesławem Bierutem na czele.

Senne muchy krążyły wokół lepu. Natanielowi kolorowe figury ćmiły przed oczami, powieki ciążyły jak kamienie. Postanowił przymknąć je tylko na chwilę, na minutkę.

* * *

Ciemność rozdarta krzywą błyskawicą flary. Białe światło zalewa ruiny. W dali klekocze krótkimi

seriami karabin. Zgliszcza dymią, śmierdzą. I pot cuchnie, i kleiste, zimne błoto, wszędzie czuć ostry, żelazisty odór krwi. Odłamki cegieł albo kamieni wpijają się w kolana, ciepła szkarłatna strużka toczy się po karku, ale to nic, nieważne, bo ręce podtrzymują ostrożnie głowę leżącego człowieka. Lepkie od krzepnącej czerwieni palce ślizgają się po włosach, oczy wpatrują w papierowo bladą twarz rannego, w siniejące wargi, zapadnięte, woskowe powieki.

To Stary, rozpoznaje Nataniel, zawieszony w pustce nieistniejącego, poplątanego czasu. Romek. Romek Sieńczewski umiera.

Boże Święty! Pamiętam!

Wybuch wstrząsa światem, jak tupnięcie wściekłego olbrzyma. Ciemność pęka, sypią się ostre odłamki jasności. Nie ma już ruin, nie słyhać jękliwego klangoru broni. Nataniel patrzy na równo ułożony, czytelny wreszcie wzór z kwadratów, trójkątów i kółek. A słone ciepło, które płynie mu po policzkach, to łzy.

Ostatni podarunek dla martwego, dawno utraconego przyjaciela.

* * *

- Chce pan przeczytać gazetę? - spytała Letycja, uwodzicielsko przechylona przez balustradę tarasu. - Ukradłam pielęgniarzom. Świeża, przedwczorajsza. To jak będzie? Chce pan? Ja już przeglądałam.

- Dziękuję - burknął Nataniel, którego wcale nie pociągała wizja czytania kolejnych zachwyków nad postęпами światowego komunizmu. - Proszę sobie zatrzymać.

- Nie chce pan wiedzieć, co słyhać w szerokim świecie? - Uśmiechnęła się słodko, przewieszając się ku niemu niczym Julia z balkonu. - Kogo dziś oświetla nasze ukochane gruzińskie słońce?

- Nie bardzo.

- No co pan dziś taki nieużyty? - zaszczebotała. - Chyba się pan nie pogniewał, prawda? Oj, nieładnie! Dąsać się o parę słówek. Niechże się pan rozchmurzy. Dziś po kolacji urządzamy wieczorek. Doktor Lampet pozwolił. To dusza człowiek. Proszę koniecznie przyjść. Będzie gramofon i płyty. Zatańczymy, zabawimy się. Póki można. Zawsze trzeba korzystać z okazji do zabawy, bo potem nie wiadomo, co może się stać. Człowiek nie zna dnia ani godziny. Moja babcia zawsze to powtarzała. Przyjdą złe czasy i będziemy żałowali każdej chwili. Każdego straconego uśmiechu. A taniec to nie grzech, prawda? No jak? Dobrze mówię? Przyjdzie pan? Zapraszamy.

- To znaczy kto? - bąknął zaskoczony.

Roześmiała się głośno.

- Co za głuptyś z pana! My! Ja, moja siostra i Regina. Załoga domku numer 12. Augustowa obiecała upiec ciasteczka. - Zniżyła głos do poufalego szeptu: - A Cyprian powiedział, że spróbuje przynieść butelkę wina. Ale ciii! Proszę się nie wygadać, bo to tajemnica! Jak będzie? Możemy liczyć na pańskie towarzystwo?

- Nie wiem - plątał się, odwracając wzrok od ciepłych, roześmianych oczu Letycji. - Bardzo dziękuję. Postaram się przyjść. To miło, że mnie pani zaprasza.

- Wspaniale! - Klasnęła w dłonie. - Jakże się cieszę. Wie pan, z tej radości mogę panu ofiarować pierwszy taniec. Chce pan?

- Och, to bardzo uprzejme. Dziękuję, ale nie jestem najlepszym tancerzem i...

- No, to jesteśmy umówieni. Czekam. Do wieczora! Proszę mnie nie zawieść.

Mrugnęła porozumiewawczo, zakręciła się jak fryga i tanecznym krokiem wbiegła do pokoju,

nucąc coś pod nosem.

Nataniel potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Święta Panienko! - mruknął. - Co za dziwaczna kobieta!

* * *

Gramofon zawodził nieprzyjemnie schrypniętym, nienaturalnym głosem Hanka Ordonówny, ciężki wieczorny upał okrywał las grubym kirem, na pochmurnym niebie pojedyncze gwiazdy wyglądały jak odległe szperacze, a w gęstwinie sosen płacząco nawoływała pójdzka. Naftówki sączyły w noc żółte, nienaturalne światło.

Nataniel się nudził. Popijał cierpkiego cienkusa z fajansowego kubka, w którym rankiem podawano zbożową kawę, obojętnym wzrokiem śledził kołyszącą się w tańcu Letycję i coraz bardziej żałował, że nie został w pokoju.

Regina, mimo gorąca spowita w ukochany włóczkowy szal, podśpiewywała do wtóru płycie, a pułkownik Rychter pakował do ust kolejne kruche ciastko. Oboje przypominali poruszone sprytnym mechanizmem woskowe figury. Ciągnęło od nich naftaliną i mdłym aromatem taniej wody kolońskiej.

Tuż obok Aurora, z senną miną utopionej Ofelii, dawała się prowadzić nieporadnym ramionom wieprzowatego Alberta.

Wygląda, jakby włókł cielę na pastwisko, pomyślał złośliwie Nataniel.

Poszedłby chętnie spać, ale nie wypadało. Przecież wszyscy tu byli. Nawet Supeł.

I krzepki, szeroki w barach Cyprian, pielęgniarz, który zgodnie z obietnicą przyniósł to kwaśne, kiepskie wino. A teraz przyciskał do siebie Letycję, jakby rniał zamiar ją udusić. Ciekawe, czy to zgodne z etyką medyczną?

Odstawił kubek na balustradę tarasu. Dość. Nie rna sensu tu dalej sterczeć. Wraca do siebie.

- *Nie wiem, ach nie wiem, jak to się stało, że zakochałem się!* - zachrypiał gramofon męskim barytonem.

Supeł kiwał się monotonicznie w przód i w tył, podobny do smutnej wańki-wstańki. Regina porwała się na równe nogi, skrzecząc rozpaczliwie „Łapanka!”, ale Rychter usadził ją z powrotem na leżaku i zaczął uspokajać.

Piekło, pomyślał zdruzgotany Nataniel. Jestem w piekle.

A zaraz potem pojawiła się następna myśl. Wślizgnęła się ostrożnie do umysłu, kusząca i budząca niepokój.

A co cię tu trzyma, przyjacielu? - szepnął w głębi głowy cichy głosik. Słodki głos anioła stróża a zarazem diabła wiodącego na manowce.

Co oprócz strachu, drogi bracie? Odejdź, skoro ci źle. Uciekaj. Co masz do stracenia?

Nataniel nerwowo przełknął ślinę.

Dużo. Dużo miał do stracenia. Swobodę, nietykalność fizyczną, a może nawet życie. Ale czy tu, w tej klatce z leśnych prętów i duszącego lęku, naprawdę jest w jakikolwiek sposób wolny? Czy tu nie grozi mu aresztowanie, wyrok, więzienie? Od czego to zależy? Od raportu Lampeta? Złej woli tajniaka? Kaprysu ubeka?

Dalej, bracie - zasyczał znów głosik. - Pokaż im, że jesteś twardy, że nie mogą cię zastraszyć paroma groźbami i srogimi minami. Odzyskaj nieco szacunku dla samego siebie. Spróbuj się przedrzeć do granicy, a potem dalej do wolnego świata, do prawdziwych ludzi. Zostaw za sobą to bagno, uciekaj. Po prostu stąd wyjdź. I gwizdź na to, co stanie się później.

Boże, pomyślał Nataniel. Tak! Dawno powinien pomyśleć o ucieczce. Prawdziwej ucieczce. A

nadarza się świetna okazja. Nikt go nie pilnuje, dookoła głusza, całe kilometry lasu. Przecież niektórym się udaje. Trzeba tylko zdobyć się na odwagę i spróbować. Teraz! Pozbyć się wreszcie skrupułów, wątpliwości, bierności zastraszonego niewolnika. Już czas! Już czas obudzić znowu swoje człowieczeństwo!

Miał wrażenie, że w duszy pękła mu jakaś paskudna tama, zbudowana ze strzępów lęków i wahań, a gorycz i gniew wylewają się teraz szeroką falą. Coś się skończyło. Definitywnie. Nie wytrzyma tu ani chwili dłużej.

Niepostrzeżenie wysunął się z kręgu światła i zamiast do pokoju ruszył w las. Nie chciał leżeć samotnie w łóżku, czekając na szurgoty dochodzące zza ściany. Poza tym wcale nie był senny. I tym razem nie miał zamiaru tchórzliwie zatrzymać się przed płotem „Magnolii”. Przejdzie tę magiczną barierę, pójdzie przed siebie, nareszcie wolny. Przecież tego cholernego ogrodzenia nikt nie pilnuje. Nikt prócz jego własnej podszytej strachem natury. Co z tego, że go złapią? Że pewnie wpakują za kraty?

Odruchowo wzruszył ramionami. Nie dbał o to. Naprawdę nie dbał.

* * *

Las powitał go ciemny, upalny, życzliwy. Otworzył ramiona krzaków, jak zawsze gotów dawać ochronę wyrzutkom i uciekinierom.

Nataniel odetchnął pełną piersią, z ulgą. Nareszcie czuł się znowu człowiekiem, a nie zaszczytym, wystraszonym strzępem. Zapomniał już, jakie to wspaniałe uczucie.

Igliwie trzeszczało pod stopami, w powietrzu unosił się ciężki zapach żywicy. Noc widocznie sprzyjała planom ucieczki, bo chmury rozstały się, ukazując pyzate oblicze księżyca. Oczy powoli przywykały do ciemności, rozróżniając coraz więcej szczegółów.

Jest pewnie grubo przed północą, myślał zbieg, przyspieszając kroku. Zaczną mnie szukać rankiem, najwcześniej około szóstej. A wtedy będę już daleko. Daleko od tej parszywej, przesiąkniętej naftaliną umieralni. Przecież tu są same żywe trupy!

Niewysoki płot z żerdzi wyrósł przed nim nagle, bielejąc ostrzegawczo deskami, wypolerowanymi przez słońce i wiatr niczym kości starożytnego olbrzyma. Strażnika magicznej krainy.

- Zrobię to - szepnął do siebie Nataniel. - Teraz.

Kiedy zacisnął palce na żerdzi ogrodzenia, przeszedł go dreszcz lęku. Coś mrocznego czaiło się w lesie, oddychało ciężkim upałem, warowało na granicy pamięci. Coś, co odrzucił, czego bał się najbardziej na świecie. Potwór w ciemności.

Zawahał się przez chwilę, wysilił wzrok, spoglądając między czarne kolumny pni, jakby spodziewał się dostrzec świecące oczy upióra.

Zacisnął ze złością zęby.

To tylko strach, pomyślał. Twój stary kumpel. Tam nie kryje się nic więcej.

Szybko wspiął się na górę i zeskoczył po drugiej stronie. Wietrzyk w gałęziach sosen zaszumił z aprobatą.

I stało się. Kości zostały rzucone. Żegnajcie wszyscy mili szaleńcy. Czas pokazać, jakim się jest dzielnym skautem.

* * *

- Marny to bunt - szeptał do siebie były pacjent „Magnolii”. - Ale lepszy niż żaden.

Szedł wytrwale, cały czas na południe, ogarnięty euforią. Był wolny! Pokazał im wszystkim! Uciekł! Po prostu uciekł! A teraz nich go sobie łapią, sucze syny!

Ani przez chwilę nie żałował swojej decyzji. Nie martwił się, że niczego nie zdołał ze sobą zabrać. Nie miał przecież pieniędzy ani dokumentów, żadnych zapasów czy broni, a tobolek z łałachami na zmianę tylko niepotrzebnie by go obciążała. Kradzież kuchennego noża i jedzenia ze spiżarni byłaby pomysłem rodem z książeczek dla pensjonarek. Wolał nie tracić czasu i niepotrzebnie rzucać się w oczy.

Podążał przed siebie, pewnie, równym krokiem, już chyba z godzinę. Powoli przestał nasłuchiwać odgłosów pogoni.

Nie zauważyli, cieszył się w duchu. Myślał, że śpię. Dobrze im tak. A ten padalec Cyprian pewnie wyleci z pracy. No, w każdym razie czekają go nieprzyjemności. Będzie musiał zająć się czymś innym niż obłapienie chętnych pacjentek.

Uśmiechnął się krzywo. Należy się draniowi, należy zawiązką.

Odetchnął głęboko. Dobrze było tak iść. Noc, dawna kochanka i czuła przyjaciółka, nie była pamiętliwa. Chętnie wpuściła go w ciemność, niczym do swego buduaru.

Bez trudu orientował się w lesie. Przypominały się dawne nawyki, dawne umiejętności. Miał wrażenie, jakby znów znalazł się w domu. Wydawało mu się, że za chwilę dotrze do znajomej polany, że w mroku pojawi się garbaty zarys ziemianki, a głos przyjaciela okrzyknie o hasło. Niemal pamiętał twarze towarzyszy, imiona, pseudonimy. Majaczyły gdzieś na granicy opalizującej dziury niepamięci, żeby za moment z powrotem zapaść w niebyt.

Tak bardzo chciałby znów ich zobaczyć.

Ale czy oni chcieliby zobaczyć ciebie? - syknął znów zimny, złowrogi głosik.

Tak zjadliwy, aż zdumiewający. Wrogi i obcy niczym podszepty ubeka.

Pewnie, że tak, uspokoił się natychmiast. Oczywiście. Przecież byli jak bracia, jak rodzina. Prawdziwi towarzysze boju. Czemu mieliby go odrzucać? Bo stracił pamięć? Absurd.

Uśmiechnął się do wzruszających obrazków, strzępów wspomnień. Menażka na ogniu. Ciemne ściany, wzmocnione grubymi, szorstkimi od kory belkami, na których tańczy słaby odbłask świeczki. Zapach skóry, towotu i mokrej ziemi. Jakieś senne rozmowy, zabawne przekomarzanie, stłumione śmiechy. Zaróżowione od ciepła policzki dziewczyny...

Drgnął.

Jakiej dziewczyny?

Łączniczki. Tej bliskiej, jak siostra. Tej znajomej. Boże, przecież ją pamiętał. Miała na imię, na imię... Nicość. Pustka w głowie.

I nagły, straszny skurcz w sercu. Ni to strachu, ni to rozpacz. Bo coś się stało, coś się stało dziewczynie, i innym, i przyjaciółom.

Coś...

Zakrztusił się wciągającym powietrzem, zacisnął dłonie w pięści.

Coś, co ja...

Gwałtowny przebłysk, biała, zła błyskawica wspomnienia.

Zrobiłem?

Niemożliwe. Absolutnie niemożliwe.

Potrząsnął głową, jakby chciał wytrząsnąć paskudne przeczucie, przyjrzeć mu się i rozdeptać.

Ale przecież wiedział, do diabła, był pewien, że nigdy nie zdradził. Nie sprzedał żadnego człowieka, nie sypnął przyjaciela, towarzysza broni, żołnierza. Miał czyste sumienie. Sumienie heroicznego tchórza.

To wszystko wyobraźnia, pomyślał z ulgą. Nie pamiętam, co się zdarzyło, i podświadomie winię się o to. Wyparłem wszystkie zdarzenia, a teraz lękam się, że wyrzuciłem z pamięci własne przewinienia. Normalna reakcja, jak to u wariata z amnezją.

Pozwolił sobie na blady uśmiech.

No, do boju, chłopie. Pod herbem kuku na muniu. Czeka cię długa wędrówka.

Ruszył przed siebie uspokojony. Paskudny robak podejrzeń znów umościł się w duszy i zasnął. Oby na zawsze.

Ale znajomy, pełen niepokoju głosik podszeptował uparcie, że ten sen może okazać się płytki.

* * *

Na razie tak dobrze było iść, uciekać, wrywać się z bagna strachu i marazmu, że zapomniał o złych przeczuciach. Po prostu nie pozwolił im zawładnąć umysłem. O wiele milej było oglądać strzępy dobrych wspomnień. Serdecznych, przyjaznych. Nie potrafił wyłowić żadnych konkretnych obrazów, przed oczami miał sunące jak w kalejdoskopie barwy, emocje, uczucia. Przypatrywał się tym kolorowym kamykom, zamazanym, zdeformowanym, lecz pięknym, leżącym na dnie strumienia świadomości, zatopionym w wodzie pamięci, niedostępnym i odległym.

Dobrze było tak iść i marzyć. Przyjemnie budować ten zamek na piasku niepamięci. Na razie nie pragnął niczego więcej.

O słodki czasie, który odszedłeś... To nie wróci. Nic nie wróci. Wiedział aż za dobrze. Ale serce biło mocno, radośnie, prostowały się zgarbione plecy. Znowu żył. Zgubił gdzieś, zdusił wszechobecny lęk, ciągnący się za nim zawsze na kształt niewidocznych kajdan. Już nie widział przed sobą twarzy upiora. Twarzy Człowieka o Grubych Palcach.

Zatrzymał się jak wryty.

Wspomnienia, strzępy wspomnień rozbłysły nagle w umyśle.

Kwadratowe, toporne oblicze. Rysy surowe, pobrużdżone. Splecione dłonie na blacie biurka. Oczy zmęczone, lecz czujne. Przenikliwe. On. Kapłan nowego boga o imieniu strach. Prywatny demon.

Kim był? Jak się nazywał? Nieważne.

Jak mogłem o nim zapomnieć? - pomyślał zdumiony i wstrząśnięty Nataniel. Zgubić w jeziorze amnezji obraz Człowieka o Grubych Palcach?

Przesunął dłonią po twarzy. Ręka drżała, po plecach spłynęła strużka zimnego potu. Ale obezwładniający, szalony lęk minął. Mógł wywołać z pamięci upiora i wytrzymać jego spojrzenie.

To było tak cudowne i szokujące zarazem, że pod Natanielem ugięły się kolana. Jego odwieczny prześladowca patrzył z głębin wspomnień, straszny jako człowiek, nie duch.

Usiadł ciężko na ziemi, nagle oswobodzony z ciemnicy własnego strachu, zbyt zmęczony, rozbity, szczęśliwy, żeby iść dalej.

Nawet jeśli znów będę musiał stawić mu czoła, nie złamię się, pomyślał. Nie tym razem.

Nie potrafiłby powiedzieć, ile czasu spędził, siedząc na pokrytej suchym igliwem ziemi, pogrążony w myślach, próbując poskładać w całość rozbite kawałki wspomnień. Ale w umyśle nie wyłaniał się żaden spójny obraz. Tkwiła tam tylko szeroka, zmęczona twarz zdetronizowanego demona.

Ile to trwało? Kilka dni, godzin, a może lat? Nie umiał sobie przypomnieć. Nie sposób policzyć chwil spędzonych w piekle.

Nawet jeśli to tylko przedśmiatek piekieł.

Wszystko powróciło nagle, niczym fala przyływu. Znow tam był, znow wiedziony na pokuszenie, sądzony, poddawany kaźni. Widział ziemiste oblicze starego demona, zimne, bezwzględne oczy pod ciężkimi powiekami, usta rozciągnięte w uśmiechu.

Las wokoło zawirował, rozmył się. Nataniel nie widział już ani pni, ani konarów. Stał się więźniem innego czasu.

* * *

Obskurny pokój. Surowe, szare ściany. Zimno ciągnie od gołego betonu podłogi. Jedno krzesło, drugie krzesło, naprzeciw siebie, przedzielone poplamionym, krzywym stołem.

I pogawędka. Takie życzliwe, serdeczne, pocrzepiające słowa, płynące z ust diabła, który spogląda spod opadających powiek oczami szakala, oczami władcy.

Krótkie, grube palce bębnią po deskach blatu. Szerokie, płaskie paznokcie są starannie przycięte, ale znaczą je sine smugi brudu, wżarte na stałe w skórę. Gapisz się na nie, na te ręce chłopca, stolarza, woźnicy. Dłonie nawykłe do robienia rzeczy prostych i mocnych. Straszne dłonie. Gorsze chyba niż oczy, usta, słowa.

Naprzeciw ciebie, jak księżyc nowego światła, unosi się kanciasta, szeroka twarz, którą tylko idiota mógłby nazwać dobroduszną. I wtedy zdejmuje cię lęk. Okropne, głębokie przerażenie, które sprawia, że zaczynasz dygotać. Bo pojmujesz nagle, że wszystko przepadło, zginęło. Został tylko on. Człowiek o krótkich, grubych palcach i rzesze jego braci. Oni są teraz światem, oni są czasem i porządkiem. Skąd się wzięli? Czy zawsze tu byli? Zastanawiasz się wstrząśnięty, ale nie znasz odpowiedzi. Jedno jest pewne. Wszystko uległo zmianie, a to, co znałeś, kochałeś i rozumiałeś, umarło.

Tylko on teraz jest, on istnieje. To jego świat. Królestwo fałszywych obietnic i cedzonych przez zęby pogrózek.

Rozglądasz się w popłochu po pokoju. Ale nikt nie przybywa na pomoc. W rogu chowa się Leonidas i jego Trzystu. Uciekają wzrokiem stropieni, przestępują z nogi na nogę, nie wiedząc, co począć. Słyszą skrzypienie rzemieni, chrzęst broni, gdy wycofują się w pośpiechu, sromotnie podając tyły. Mucjusz Scewola stoi tuż za oparciem krzesła, zasepiony, niepewny. Spaloną dłoń chowa za plecy, jakby się wstydził. Za nim drepczą nerwowo inni szlachetni bohaterowie Republiki Rzymskiej, gotowi do natychmiastowej ucieczki. Roland międli w palcach taśmę od swego bezużytecznego rogu, Ivanhoe przygryza wargę, nawet Robin Hood i Winnetou nie ośmielają się unieść wzroku.

Już nie są pewni swoich racji, już nie unoszą dumnie głów, nie wypinają piersi, sławiąc własne bohaterstwo. Stają się cisi, mali, zawstydzeni niepotrzebnym heroizmem, żalonymi ideami. Pod ciężkim spojrzeniem Człowieka o Grubych Palcach rozsypują się w pył, proch ze starych, zbutwiałych stronic.

Powoli, z namaszczeniem obraca w dłoniach papierosa. Migają aureole brudu za płaskimi łopatom paznokci. Milczy. Może sobie pozwolić na milczenie, wcale nie musi mówić: „Jestem księciem tego świata”.

Ale odzywa się do ciebie. Łaskawie. Uprzejmie. Złowieszczo. W twoich skroniach walą młoty, serce trzepocze słabo, jak jętka jednodniówka u kresu wieczoru, w ustach gorzko i sucho, i z trudem tylko rozumiesz, co mówi.

Tymczasem szlachetni Indianie i dzielni podróżnicy kryją się trwożnie w zakamarkach pamięci, bladziutcy, bliscy omdlenia.

Ich czas, szalony, butny i bezsensowny, przeminął na zawsze, zmieciony niczym śmieci z dywanu historii.

Wiesz o tym, czujesz całym jestestwem. Rozumiesz, jak żalosnych, jak głupich prawd trzymałeś się przez całe życie, jakim niepotrzebnym hołdowałaś zasadom. Ale koniec już z tym. Nadszedł czas oświecenia, czas przemiany. Moment sądu, pokuty i wybaczenia. Każdy ma przecież prawo do błędów. Grunt, aby je naprawić. Rozpocząć nowe, światłe i świadome życie. W zamian za współpracę, którą tylko nierozumny, zaciekły w nienawiści, romantyczny szaleniec mógłby nazwać zdradą. W zamian za serce, duszę i kilka nazwisk piękna przyszłość czeka na ciebie, młody człowieku, w naszej nowej, wolnej, sprawiedliwej wreszcie ojczyźnie. Masz zdolności podobno? Piszesz? Wiersze jakieś ponoć, wyssane z palca historyjki? I dobrze. Takich też nam potrzeba. Żeby ludzi pracy poderwać, ideą zarazić, odmienić, poruszyć! To dla ciebie zadanie, ważne, prawdziwe! Szerzyć nowe z pożytkiem dla ludu i kraju! No, zrozumiałeś? Taka może być twoja przyszłość!

Mówią ci to szyderczo wykrzywione, sączące życzliwe, budujące słowa usta twego wroga, twego wybawcy, twego diabła.

Nataniel oddychał głęboko, próbując się uspokoić. Splótł dłonie na karku, przymknął powieki.

Nie złamałem się, pomyślał gorzko. Nie zeszmaciłem. Ale ugiąłem, pokonany przez strach. Uciekłem, ukryłem się, jakoś wywinąłem, ale jak? Jak to się stało, że choć nie zdradziłem, zachowałem się niczym tchórz?

Pokręcił z niedowierzaniem głową. Nie pamiętał. Niczego nie pamiętał.

Poderwał głowę, dopiero kiedy usłyszał trzaśnięcie gałązki.

A jednak przyszli! - pomyślał w popłochu. I mają mnie. Nie doceniłem ich. Co za idiota! Trzeba było zadbać o jakąś broń, chociaż nóż. No, a teraz za późno!

Napiął mięśnie, gotowy do natychmiastowej ucieczki.

Tymczasem tuż przed nim, niemal roztopiona w ciemności, stała Letycja.

Omali nie zemdlął na jej widok. Serce zatrzymało się na chwilę, z twarzy odpłynęła krew. Mógł się spodziewać pielęgniarzy z pałkami, uzbrojonych żołnierzy, tajniaków, ale nie kawowej dziewczyny dryfującej przez ocean neurozy.

Niemożliwe! - przeleciała mu przez głowę myśl na kształt błyskawicy. To halucynacja! Ja śnię! Zwariowałem!

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Przestraszyłam pana? Przepraszam. Pan taki blady. Nic się nie stało?

Wstał chwiejnie, wyciągnął ku niej rękę, ale zaraz cofnął.

- Co pani tu robi, Letycjo?! Poszła pani za mną? Po co? Dlaczego, na litość boską?!

Zmieszła się.

- Pan zniknął, Natanielu. Opuścił nas tak nagle. Bałam się, że się pan rozżłościł. Przecież nie ma czego. O ten pierwszy taniec?

- Taniec? - zdumiał się, a głęboko pod sercem ocknął się znów zły, przemożny lęk. - O czym ty mówisz, dziewczyno? Jaki znowu taniec? Uciekłaś z kliniki, szłaś moim śladem z powodu jakiegoś tańca? Błagam, mów do rzeczy, bo inaczej oszaleję!

Letycja podniosła dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech czy przestrich. Nie wiedział.

- O Boże! - jęknęła. - Więc ty myślałeś...? No tak, oczywiście! Przepraszam. Zapomniałam, że jesteś tu nowy.

Ogarnął go gniew, gniew podszyty prawdziwym przerażeniem.

- No to co, że nowy? Dość mam tych wiecznych zagadek, tajemnic! Uciekłem! Samowolnie opuściłem ośrodek i nie mam zamiaru wracać! Rozumiesz? Jestem zbiegiem! I, niestety, nie wiem,

skąd ty się tu wzięłaś, więc lepiej się wytłumacz, dobrze radzę!

W brązowych oczach Letycji pojawił się cień współczucia. To zabolęło bardziej, niż gdyby zaczęła się śmiać.

- To stary bór, Natanielu - odezwała się niezwykle łagodnie. - Głusza. Bardzo łatwo zgubić drogę nawet komuś, kto doskonale orientuje się w lesie. Zwłaszcza w ciemności. Nocą można chodzić w kółko i wcale tego nie zauważyć. A płot ma same dziury. Miejscami wcale go nie ma. Regina ciągle wychodzi. Pamiętasz, prawda?

Poczuł się nagle zupełnie zagubiony, zdruzgotany. Patrzył na tę brązową, współczującą madonnę i chciało mu się równocześnie płakać i kłać.

- Jak to? - wyszeptał. - Nie zdołałem nawet opuścić ośrodka?

Potrząsnęła głową, litościwie powstrzymując się od komentarza.

Zacisnął usta, żeby nie zacząć wyć, wrzeszczeć ze złości i upokorzenia. Dłonie same zwarły mu się w pięści, przed oczami widział lodowe, błękitne wyładowania szaleństwa.

- Aha - mruknął wściekle. - Więc zrobiłem z siebie błazna. Wspaniale. Nic nowego.

Głos miał ochryply, zupełnie obcy, jakby przemawiał przez niego demon. Demon głupoty i mrzonek.

- Nie! Wcale nie! - Schwyciła go mocno za ramię. - Jesteśmy strasznie daleko od ludzi, od świata. Stąd bardzo trudno uciec. To chyba w ogóle niemożliwe. Ja też próbowałam. Kiedyś... Urwała nagle.

- Cyprian ci nie pomógł? - warknął ze złością.

Na jej twarzy odmalowało się szczere zdumienie.

- Cyprian? Pielęgniarz? Jak...? Ach tak! Rozumiem! - rozpromieniła się nagle. - Natanielu, ty jesteś zazdrosny? Zazdrosny o kogoś z personelu?! Mój Boże, to zabawne. Ale takie urocze. Ja nie sądziłam...

Nawet w ciemności widać było, że na jej policzki wypływa rumieniec.

Nataniel zmieszał się bardzo. Jak na jedną noc miał zdecydowanie za dużo wrażeń. Wciąż trzęsła nim wściekłość, bolał zawód. A słowa dziewczyny powiększały upokorzenie, choć wiedział, że nie to było jej intencją. Patrzyła na niego tak szczerze, serdecznie.

- Letycjo - wyjąkał - naprawdę nie wiem, co powiedzieć...

- Nic nie mów. Obejmij mnie.

Zamarł ze zdumienia, ale tylko na sekundę. Już w chwili gdy ogarniał ją ramionami, przyciągał do siebie, wiedział, że od zawsze chciał to zrobić. Odkąd ujrzał ją na ścieżce w lesie. Jej skóra, gładka i miękka, była gorąca, zdawała się parzyć palce. Poczuł nacisk jej pełnych piersi, jędrnych, smukłych ud obciążonych ciasno materiałem sukienki. Dłonie same poszukały krągłości pośladków, w głowie odbezpieczył się i wybuchł granat doznań i emocji. Tak długo tłumionych, od tak dawna niezaznaczonych.

Kiedy ostatnio miałem kobietę? - zastanowił się oszołomiony umysł.

Teraz, odpowiedziało ciało.

Świat się zakotłosał, noc pękła, wszystko inne straciło znaczenie.

Przyłgnęła do niego odruchowo, lecz natychmiast zeszytywniała, odsuwając głowę. Równie dobrze mógłby trzymać w ramionach posąg. Dobrze wiedział, co to oznacza. Amnezja amnezją, ale takich rzeczy się nie zapomina.

No i tyle, zrozumiał, wściekły i zawiedziony. Już po balu.

Niechętnie przesunął ręce na plecy i kark dziewczyny.

Oddychała płytko, półotwarte wargi miały głęboki odcień cynobru. W oczach o barwie mokki mieszkał lęk, i prośba, i nadzieja.

Nic nie mów, idiotko! - pomyślał ze złością, ale ona już otwierała usta.

- Natanielu... - wyszeptała. - Myślałam, że ty... że my... Jestem taka samotna! Tu wszyscy dbają tylko o siebie. Nie mam nikogo bliskiego. Aurora... sam wiesz. Nienawidzi mnie, a ja też nie mogę jej znieść. Kiedy się pojawiłeś, poczułam, zrozumiałam, że to może być coś innego, coś niezwykłego... a teraz odszedłeś i... Nie wiedziałam, co robić. Szukałam cię... byłam pewna, że ty też mnie porzuciłeś. Nawet nie wiesz, jak tu jest. Tak samotnie, strasznie. Ja potrzebuję przyjaciela, mężczyzny... myślę, że razem...

- Tak - mruzczał uspokajająco, wplatając palce w pasma gęstych, ciemnych jak leśny miód włosów, odwracając ku sobie jej twarz, ustami szukając ust. - Tak, tak... oczywiście.

Przytaknęłoby wszystkiemu, żeby wreszcie przestała gadać.

- Poczekaj - wydyszała. - Poczekaj! Nie rozumiesz!

Rozumiał. Coraz lepiej rozumiał jej ciepłe, jędrne ciało zakute w pancerz ciasnej sukienki. Jej włosy pachnące wiosną, smukłe nogi mimo upału spowite w ciekawą mgłę pończoch. I nie zamierzał od razu się poddać. Pociągnął ją za sobą na suchy materac igliwia.

Targnęła się nagle z siłą tygrysy.

- Nie! - krzyknęła z furią. - To na nic! Na nic! Nie pomoże!

Zwolnił uścisk ramion.

- Co ma pomóc? - szepnął bezradnie, zaskoczony.

- Nic! Myślałam, że może... Boże, ależ byłam głupia! Nie patrz tak! No, nie patrz! Ja nie mogę! Nie tu! To bez sensu, na nic!

Wstała i z furią zaczęła otrzepywać sukienkę. W brązowych oczach błyszczało szaleństwo.

Nataniel usiadł. Twarz miał bladą, zaciętą.

- Coś niezwykłego... - szepnął zdławionym głosem, bardziej do siebie niż do niej.

Usłyszała, zachnęła się ze złością.

- Ach, przestań! Przestańże wreszcie! W końcu zrozumiesz. Kiedy tylko przyjdą mgły. Ja ci niczego nie zamierzam tłumaczyć. Nie muszę! Słyszysz?! Idź sobie, idź, dokąd chcesz! - Machnęła lekceważąco ręką.

Obciągała sukienkę na udach z taką wściekłością, jakby chciała porwać materiał na strzępy. Gorączkowym ruchem poprawiła pończochy, przyglądała włosy i odeszła w mrok, kołyszając biodrami.

- Rób, co chcesz, wariatko! - warknął za nią, podnosząc się z ziemi. - Więcej już na nic mnie nie nabierzesz, słyszysz? Dostyc! Masz nierówno pod sufitem! Idiotka!

Nie odwróciła się nawet, szła sztywno wyprostowana, obrażona, jakby to on ją odtrącił.

Został sam. Zły, rozgoryczony, bezradny. Zraniony głęboko, bezużyteczny jako mężczyzna, buntownik, żołnierz. Trzeba było wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy. Urodził się z podłą duszą lękliwego niewolnika, nigdy się nie wyzwolił spod tego jarzma. Zawsze będzie się czegoś bał, przed czymś wzdragał. Nawet nie potrafił jej powiedzieć, co myśli, prosto w oczy. Rzucił tylko parę paskudnych słów, jak pecynę błota, w plecy, po tchórzowsku, kiedy upewnił się, że odeszła odpowiednio daleko.

Ale wściekłość wcale w nim nie wygasła. Płonęła wysoko niczym smolna pochodnia. Z rozmachem kopnął pniak po wiatrołomie.

- Wystawiła mnie do wiatru, obłąkana dziwka - szepnął do siebie, jakby wciąż nie mógł pojąć, co się stało. - Dobrze mi tak, głupkowi.

Własny bunt, ucieczka wydawały mu się teraz żalosne. Jak grymasy chłopca, który woli się bawić, niż siadać do nauki. O tak. Dostał właśnie nauczkę. Gorzką. Tak gorzką, że aż trudną do przełknięcia.

- I zadawaj się tu z wariatami - poskarżył się na głos ciemności.

Ale u niej także nie znalazł zrozumienia. Noc nagle stała się obca, księżyc wykrzywił szyderczo. Nawet pójdzka śmiała się złośliwie. To już nie była dobra pora na ucieczkę. Prawdę rzekłszy, na nic nie była dobra.

Myśli o wolności, o sprzeciwie wyparowały jak rosa na źdźbłach turzycy w pierwszych promieniach słońca. Bezlitosnego słońca prawdy.

Nataniel westchnął, zgarbił ramiona.

Trzeba wrócić do kieratu, pomyślał z goryczą. Tam jest miejsce dla wołu.

I powoli ruszył przed siebie, dziwnie przekonany, że dokądkolwiek by się udał, trafi z powrotem do „Purpurowej Magnolii”.

Zaledwie po kilkunastu krokach potknął się o zbutwiałe żerdzie ogrodzenia. Nie miał już siły na wściekłość, minął je obojętnie. Chciał tylko odnaleźć swój domek i zamknąć za sobą drzwi. Nic nie sprawiłoby mu większej przykrości niż przypadkowe spotkanie z którymś z pacjentów. A szczególnie z Letycją.

Przemykał chyłkiem, starając się znajdować osłonę w cieniu krzaków, rozgoryczony, że nie potrafi wracać z podniesioną głową. Strzępiaste chmury znów skupiały się, żeby przykryć księżyc, więc często potykał się w ciemności. Mimo że wyteżał wzrok, nie rozpoznawał okolicy. Z pewnością znajdował się znów w „Magnolii”, ale nigdy przedtem nie zapuszczał się w te rejony ośrodka. Wszechobecne iglaste drzewa zaczęły ustępować liściastym, zapachniało mułem, mdłym aromatem czeremchy, wilgotny grunt uginał się lekko pod stopami. Wszędzie pieniały się młode, rachityczne jarzębiny. Wielkie, mięsiste liście łopianów czepiały się gniewnie kostek. Z oddali niósł się stłumiony rechot żab.

Po chwili dostrzegł sterczące, przekrzywione nieco belki starej altany, zwieńczone spiczastym kapeluszem dachu. Kolonie porostów zwieszały się z wymyślnych gzymsów i krokwi budowli niczym fragmenty postrzępionej kotary. Konstrukcja musiała być bardzo wiekowa, a w słabym srebrnym blasku miesiąca przypominała porzucony palankin strącony z grzbietu słońca. Gdzieś w pobliżu szemrała woda. Nataniel postąpił jeszcze kilka kroków i znalazł się nad brzegiem strumienia. Ciek czołgał się wśród poszycia lasu, błyszcząc oleiście, podobny do pełznącego węża, spiętego pokornie półkolistą obrozą kładki. Ziemia parowała wilgocią, potężne pnie drzew porastał mech.

Dobre miejsce na zabawę w misie-patysie, pomyślał pacjent marnotrawny. Tylko dosyć ponure.

Przekroczył mostek i wkroczył w kępę żałobnych, pogrążonych w wiecznym smutku olszyn. Tu ciemność zgęstniała momentalnie, jakby drzewa wysały z nieba resztę światła, od wody powiało chłodem. Słaby podmuch obudził się w gałęziach, zaszumiał trwożnie. Po plecach Nataniela przebiegł dreszcz.

Poczuł się nagle nieswojo, ogarnięty cichą, złowróżbną nocą, ścigany bełkotliwymi groźbami strumyka. Korzenny, ciężki zapach czeremchy oszałamiał, parne powietrze rozpychało się w płucach. Jakiś nocny ptak zakrzyczał przerażony i natychmiast umilkł.

Nataniel przedzierał się przez zarośla, zdecydowany jak najszybciej opuścić mroczną dziedzinę Króla Olch. To miejsce przygnębiało go, budziło niejasne, przykre wspomnienia. Lęk przed tajemniczym złem.

Czarniejsza od mroku bryła domku pojawiła się przed nim niespodziewanie, jakby wyrosła wprost z ziemi. Budynek przypominał pozostałe zabudowania kliniki, ale był mniejszy niż bliźniaki przeznaczone dla pacjentów. Nawet w słabym poblasku księżycy było widać, że jest zaniedbany. Fundamenty zapadły się głęboko w grząski grunt, podmurówkę obrastało zielsko. Lite, ciężkie okiennice zabezpieczały okna. Widocznie w dawnych czasach klinika przyjmowała znacznie więcej

pensjonariuszy. Teraz ten odległy zakątek terenu powoli popadał w ruinę.

Nataniel przyspieszył kroku, jakby się bał, że ujrzy przed sobą ducha któregoś z niegdysiejszych pacjentów. Przekrzywiona platforma tarasu wyszczerzyła do niego powybijane zęby tralek. W czerni nad progiem coś słabo migotało, złościło się ledwo dostrzegalną, mdłą kreską.

Włosy na karku Nataniela stanęły dęba.

Próchno świeci, pomyślał w popłochu, ale dobrze wiedział, że się okłamuje.

Przez drzwi przeciekał słaby poblask światła. Światła płonącego w środku.

Zatrzymał się z bijącym na alarm sercem, nasłuchiwał.

Tak, z wnętrza wyraźnie dochodziły stłumione odgłosy.

Tu go trzymają, zrozumiał. Tego partyzanta z lasu. Co za dranie! A udają takich poczciwych!

Ostrożnie, starając się zachowywać jak najciszej, zbliżył się do ściany, oparł dłonie o szerokie, chropawe deski. Palce lekko mu drżały. Otworzył usta, żeby cicho pozdrowić więźnia. I odskoczył jak oparzony.

Zza ściany doszedł go głuchy, potężny odgłos uderzenia, a zaraz potem łomot padającego ciała. Stłumiony jęk i warkot przekleństw. I zduszony, kipiący wściekłością głos. A po chwili inny, cichszy, władczy, rozkazujący. Szept, prawie niedosłyszalny. I znów odgłos ciosów. Coś przewróciło się z suchym, drewnianym trzaskiem. Pewnie krzesło.

Nataniel stał ukryty w ciemności, drżąc.

A wstrętny, parszywy głosik z głębi umysłu syczał: *Chwała Bogu, że się nie odezwałeś! Przecież już byłoby po tobie. Jemu nie pomożesz, a sam...*

Kazał mu się zamknąć, ale głos brzmiał uporczywie. No bo faktycznie, co mógłby zrobić? Nic. Zupełnie nic. Prawdopodobnie zastrzeliliby go, gdyby tylko spróbował otworzyć drzwi. Albo chwilę później, kiedy już wszystko by od niego wyciągnęli.

A w domku, za cienką złotawą linią w progu, złowróżbnym śladem czarnej mrocznej bajki, człowiek o twarzy powstańczego dowódcy i dłoniach jak popękane farfurki, krwawiąc na surowe deski podłogi, powiększał swoją kolekcję blizn.

Zaś pod żałobnymi gałęziami olszyn, skulony wśród łopianów i zielska, niegdysiejszy buntownik, dzielny uciekinier z „Magnolii”, rozmazywał po policzkach żalosalne, gorzkie łzy tchórza.

Wtem wewnątrz zadudniły kroki, cień przesłonił świetlistą kreskę nad progiem.

Ktoś wychodzi! Zobacz mnie! - pomyślał z przerażeniem Nataniel i chyłkiem, w popłochu zaczął się cofać w głąb ciemności, między drzewa, na mulisty brzeg strumyka.

Ale nikt nie nacisnął klamki.

Domek został za nim, zamknięty, zapadnięty w siebie, głuchy, czarny, martwy. Zaciskał kurczowo powieki okiennic, milczał zawartymi drzwiami, zwierzał szczeliny desek, żeby nie słyszeć, nie reagować. Niczym chińskie małpki z jadeitu, które matka ustawiła na komodzie.

Niewidzę, Niesłyszę, Niemówię.

Trzej pokorni bracia strachu.

W tej chwili Nataniel był taki sam. Uciekająca w mrok, ślepa, głucha, oniemiała małpka z kamienia.

* * *

Biegł przed siebie, nie zważając na kierunek, przeszkody, odgłosy. Nie chciał widzieć, czuć, myśleć. Teraz z wdzięcznością przyjąłby atak amnezji. Gdyby upadł, potknąwszy się o wykrot czy zwalony pień, i rozbił sobie głowę, byłby naprawdę szczęśliwy. Czasem wydaje się, że lepiej nie

istnieć, niż znosić istnienie.

Ale nie tylko przedmioty martwe bywają złośliwe. Wredne okazują się także okoliczności. Nie dość, że przebiegł przez las bez szwanku, to w dodatku wpadł prosto w żółty krąg światła naftówek. Cmy, delikatne jak skrawki mroku, trzepotały wokoło. Gramofon pojękiwał rzewnie, a goście wciąż objali się w tańcu o nieprzekraczalną barierę balustrady, niczym nieśmiertelne woskowe panoptikum wyeksponowane w dioramie tarasu. Letycja jakimś cudem zdołała zmusić Supła do przesuwania nóg w groteskowej parodii walca, Aurora uwiesiła się ramienia pułkownika, a Regina obracała wokół własnej osi, wymachując nad głową koronkową chusteczką. W sumie istny bal u Wroga Rodzaju Ludzkiego.

Brakowało tylko Alberta i pielęgniarza Cypriana.

Nataniel jęknął w duszy.

Już miał zawrócić i uciec w ciemność, gdy nagle Rychter powstał z miejsca i wyciągnął oskarżycielsko palec.

- Patrzcie! - zawołał. - Tam! O, między drzewami!

- Niemcy?! - zapięła przerażona Regina, przyciskając dłoń do piersi. - Jezusie, ratuj!

Ale tym razem nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wszyscy odwrócili głowy i z napięciem wpatrywali się w Nataniela.

Zniecierpliwionym ruchem rozłożył ramiona. Czort wie co ta Letycja im nagadała.

- O co chodzi? Poszedłem się tylko przejść!

Aurora zamachała z tarasu dziwnym gestem, jakby próbowała płoszyć kurczaki.

- Odsuń się pan! - krzyknęła. - Zasłaniasz!

Skonfundowany Nataniel odstąpił parę kroków w bok i spojrzał w ciemność za sobą.

A między sosnami dwie małe, wychudzone, bladziutkie dziewczynki gestykulowały żywo, budując w powietrzu nieistniejące figury i kształty. Poważne twarzyczki zastygły w wyrazie skupienia, na policzkach wykwitły mocne, niezdrowe rumieńce, oczy podmalowywały sine podkówki cieni. Mysie włosy, splecione w warkoczyki, opadały na ramiona. Obie miały na sobie połatanne, przykrótkie sukienki. Młodsza, na oko ośmioletnia, była bosa. Starsza, licząca pewnie z dziesięć lat, nosiła wytarte, całkiem już pozbawione blasku lakierki i rozciągnięte podkolanówki.

Rodzinne podobieństwo natychmiast zwracało uwagę. Dzieci były zapewne rodzeństwem.

Stały blisko, zaledwie kilka kroków od Nataniela, błękitnawe i białe w spranych ubraniach, niczym widma z mgły. Jasna skóra na chuderławych ramionach wydawała się wręcz przezroczysta. Małe w skupieniu odtwarzały przed publicznością swój pantomimiczny spektakl. Dużo tam było przesadnych gestów, załamywania rąk, szlochów i dramatycznych póz rodem z niemego kina.

Ale przedstawienie wcale nie wydawało się śmieszne. Było w nim coś upiornego, jakaś utajona groza. Nataniel czuł ciarki przebiegające po plecach. Najchętniej poszedłby do pokoju, albo nawet wrócił na taras, do reszty pacjentów, lecz bał się poruszyć, żeby nie zaburzyć tego dziwnego misterium.

Gramofon zawodził jakiś smętny cygański romans, a ruchy dziewczynek stały się płynne, prędkie, niemal hipnotyczne. Opowiadały o czymś strasznym, trudnym do zniesienia. W pewnej chwili obie zasłoniły sobie oczy.

Nagle starsza odwróciła się na sekundę do Nataniela, spomiędzy palców błysnęły źrenice. Nieruchome, rozszerzone, świecące fluorescencyjnie niczym próchno na dnie dziupli.

Mężczyzna wydał stłumione stęknienie, zrobił się blady jak duch. Kolana mu zmiękły, ale nie upadł.

Sine usta dziecka poruszyły się, wypowiadając bezgłośnie dwa słowa.

Idą mgły - zrozumiał.

Wtedy młodsza wydobyła z kieszeni na piersi sukienki zwój linki. Druga momentalnie przestała zwracać uwagę na Nataniela, podeszła do siostry i zwinnym ruchem podsadziła ją na najniższy konar drzewa. Mała sprawnie jak wiewiórka wspięła się wyżej, usiadła okrakiem na grubej gałęzi i zaczęła supłać sznur.

Goście na tarasie wyciągnęli z ciekawością szyje. Za ich plecami zamajaczyła nagle zwalista postać Alberta.

- Marysia! Hania! - rozległ się straszny, przepojony rozpaczą krzyk. - O Boże Najświętszy! Dzieci!

Dziewczynki nawet nie odwróciły głów. Młodsza wiązała właśnie linę na gałęzi, a wolny koniec zrzuciła siostrze. Starsza wyciągnęła ręce, obmacała pętlę, sprawdziła supeł i zacisk stryczka.

- Nie! Maryniu, Hanuś, błagam! Co wy robicie?!

Albert szedł ku nim chwiejnie. Twarz miał purpurową, obrzękłą, oczy wytrzeszczone. Dyszał ciężko, wyciągając ramiona w kierunku dzieci.

Obie obróciły się ku niemu sztywno, równocześnie. Czarne, widmowe oczy świeciły zielonkawym poblaskiem próchna. Wystudiowanym gestem, niczym mechaniczne lalki, wskazały mężczyźnie wiszący stryczek i dygnęły głęboko.

Nagle zrobiło się zimno, z głębi lasu pociągnęło studziennym chłodem.

Nataniel zamarł ze zgrozy. Albert szedł, zataczając się, otwierał usta jak ryba. Wykrzywionymi palcami szarpnął kołnierzyk koszuli, zerwał guzik, lecz jego twarz robiła się coraz bardziej sina.

- Dzieci! - wycharczał szeptem. - Moje najdroższe dzieci! To nie tak. Ja... nie chciałem was zostawić. Nie porzuciłem was! Zrozumcie, weszli czerwoni. Straciłem wszystko, wszystko... byłem przerażony, nie wiedziałem, co robić... więc... Tak, wiem, to straszne, to grzech! Ale nie widziałem wyjścia! Byłem jak szczur w pułapce! Bałem się! Tak strasznie się bałem! Nie potrafiłem tego znieść! Musiałem to zrobić! Wtedy tak właśnie sądziłem! Uciekłem. Uciekłem w jedyny sposób, jaki umiałem wymyślić. Boże! Jak bardzo tego żałuję! Jak strasznie żałuję! Tak, macie rację, nie pomyślałem o was. Ani przez chwilę o was nie pomyślałem. Tak się bałem, zrozumcie. Tylko strach, ten dławiący, potworny strach! Jezu, jak mogłem was zostawić?! Ja, ojciec, porzuciłem was same w taki straszny czas! Wyrzekłem się, zapomniałem, nie pomogłem! Myślałem tylko o sobie, wiem! Tak bardzo mi wstyd! Gdybym mógł cofnąć czas, gdybym tylko mógł! Dzieci! Najdroższe moje! Ja nie chciałem! Wybaczcie! Maryniu, Haniu, moje słoneczka, moje córeczki... Wybaczcie! Błagam, wybaczcie!

Młodsza jakby się zawahała, zdawało się, że chce wyciągnąć do ojca rękę. Ale siostra z surowo zaciśniętymi ustami wskazała w górę, na dyndający stryczek.

Obie dziecięce twarzyczki zrobiły się wtedy zacięte, złe.

Dziewczynki cofnęły się o krok i znów dygnęły szyderczo.

Albert rzeźił z coraz większym trudem. Na policzki wystąpiły mu czarne i fioletowe plamy. Białka oczu podeszły krwią.

- Ha...niu! Dziecko! - wychrypiał jeszcze z rozpaczą. - Ma...ry...

I zwałił się jak kłoda na ziemię. Potężnym ciałem wstrząsnęły drgawki. Korpus wygiął się w łuk, nogi spazmatycznie kopały ziemię, ręce biły jak cepy. Twarz była purpurowa, nabrzmiała. Oczy wywróciły się w głąb czaszki, z ust pociekła strużka spienionej śliny.

Nataniel przyskoczył do chorego, porwał gruby, suchy patyk i zamarł bezradnie, nie wiedząc, jak wsunąć kawałek drewna pomiędzy zaciśnięte zęby Alberta.

- Pomóżcie mi! - krzyknął. - I niech ktoś pędzi po lekarza!

Pułkownik Rychter i Letycja już nadbiegali.

- Ty nie! - zawołał do dziewczyny. - Musisz zawiadomić Lampeta!

Przyklękła zdyszana obok Alberta, wyrwała patyk z dłoni Nataniela.

- Posłałam Aurorę. Nie bój się, wiem, co robić.

Rychter sprawnym ruchem przytrzymał ramiona chorego, Letycja pochyliła się, mocno objęła miotającą się w drgawkach głowę.

- Odsuń się! Przeszkadzasz - fuknęła na Nataniela.

Posłusznie się wycofał, widząc, że dziewczyna faktycznie zna się na rzeczy.

- To nie jest jego pierwszy atak - wyjaśnił pułkownik. - Wszystko będzie dobrze, niech się pan nie niepokoi. To tylko tak paskudnie wygląda.

Co innego mnie niepokoi, pomyślał Nataniel, ale wykrzywił usta w uspokajającym uśmiechu.

- Boże, rozstrzelają nas! Rozstrzelają nas wszystkich! - jęczała gdzieś z tyłu Regina.

Supel nie ruszył się z tarasu. Stał jak wcielony posąg przestרחu, zasłaniając dłońmi usta.

Nataniel odwrócił wzrok, ryzykując spojrzenie w ciemność między drzewami. Dziewczynki zniknęły. Stryczek także. Z gałęzi sosny zwisała tylko skłębiona broda porostu.

* * *

Usiłował skupić wzrok na rozsypujących się nieustannie czarnych kleksach. Lampet powiedział, że w tej plątaninie zacieków i plam są ukryte obrazki. Trzeba uważnie się przypatrzeć, „przestawić widzenie”, jak się wyraził, żeby je dostrzec, wyłowić z tła. A wtedy stają się czytelne.

Nataniel „przestawiał widzenie” już od rana, ale przed oczami wciąż tańczyły mu konstelacje rozmazanych punktów.

Czuł się źle i nie miał humoru. Wypadki wczorajszego wieczoru nie dawały mu spokoju. Cieszył się, że nie zdecydował się zaufać dyrektorowi kliniki i nigdy nie zagadnął o tajemniczego partyzanta. Teraz wiedział więcej, niż oczekiwał. Ale ta wiedza ciążyła, zatruwała serce. Tysiąc razy tłumaczył sobie, że nie mógł nijak pomóc, nic zrobić, a i tak czuł się jak podlec, jakby współuczestniczył w tym haniebnym akcie przemocy.

No i jeszcze pozostawał Albert. Oraz dziewczynki. Widmowe dziewczynki przygotowujące stryczek dla swojego ojca.

Wszyscy je widzieli, ale przy śniadaniu milczeli niczym śnięte ryby. Nikt nie wspomniał słowem o dziwacznej wizji. Alberta przy stole brakowało, ponoć dochodził do siebie po ataku.

Letycja patrzyła na Nataniela kamiennym wzrokiem, odzywała się półsłówkami. Atmosfera panowała lodowata jak Grenlandia.

To musiała być zbiorowa halucynacja, doszedł do wniosku, wspominając z zimnym dreszczem na karku pantomimę odgrywaną przez upiorne dzieci. Boże, ależ straszne miały te bezdenne oczy. Jak dziuple czerni.

Wzdrygnął się.

Dlaczego inni też je zobaczyli? - zastanowił się. Dodają nam do jedzenia jakichś lekarstw czy *co*? Ale jakim sposobem wszyscy widzieliśmy to samo?

A skąd wiesz, że to samo? - zapytał natychmiast paskudny chochlik w duszy. - *Pewne jest tylko, że wszyscy widzieli COŚ. Mieli jakąś wizję. Dlaczego sądzisz, że taką samą jak ty, skoro nikt z tobą o tym nie rozmawiał?*

Faktycznie, pomyślał zrezygnowany. Może inni ujrzeli tam diabła we własnej osobie albo batuszkę Stalina z płonącymi rogami na głowie i wężem zamiast języka. Regina na przykład zobaczyła hitlerowców w akcji. To pewne jak upadek Hitlera.

Nagle doznał olśnienia. Cyprian, oczywiście! Przyniósł to wstrętne, kwaśne wino, w którym z pewnością rozpuszczono przedtem środek wywołujący halucynacje. Zrobił to dla podłego żartu czy realizował jakiś plan? Eksperyment Lampeta, którego ofiarami wszyscy padliśmy? To pytanie miało pozostać bez odpowiedzi. Przecież dyrektor kliniki nigdy by się do czegoś tak podłego nie przyznał.

Ale Albert? Albert z pewnością spotkał swoje córki, dwie dziewczynki o bladych twarzyczkach i oczach upiorów. Te same, które zadzierzgiwały stryczek dosłownie parę kroków od Nataniela.

Westchnął.

Nie, nic nie trzymało się kupy. Nie rozwiąże tej zagadki. Musi przyjąć, że po prostu zmysły odmawiają mu posłuszeństwa.

- Niech się pan skupi, Natanielu, proszę - rozległ się głos doktora. Brzmiała w nim nuta przygany. - Widzę, że w ogóle się pan nie stara. Przecież to proste. Wystarczy dobrze się przypatrzeć. Spróbujmy jeszcze raz!

Pacjent niechętnie zerknął na kartkę. Plamy zamigotały mu przed oczami i nagle, bez ostrzeżenia, wyłonił się spośród nich obraz, jakby wypłynął na powierzchnię z głębokiej, mulistej wody.

Wykrzywiona bezbrzeżnym przerażeniem, krzycząca twarz. A tuż pod linią spiczastego podbródka szeroka, silna dłoń i ostrze noża rozdierającego ofierze gardło. Wizerunek był bardzo wyrazisty. Ktoś zadbał nawet o czarną strugę tryskającej krwi i skórę rozstępującą się pod naciskiem klingi.

Nataniel wciągnął przez zęby powietrze. Nie spodziewał się podobnego widoku. Rysunek był obrzydliwie realistyczny. Właściwie bardziej przypominał sprytnie przetworzone zdjęcie.

* * *

Lampet pochwycił spojrzenie pacjenta, a na jego przystojnej twarzy pojawił się na moment bardzo smutny uśmiech.

- Widzę, że próba się powiodła. Proszę wziąć przybory do pisania i opisać, co pan zobaczył.

Nataniel niechętnie spełnił prośbę. Teraz kiedy udało mu się „otworzyć widzenie”, z pozostałymi obrazkami poszło znacznie szybciej. Wszystkie były albo szokujące, albo obrzydliwe. Większość przedstawiała sceny samobójstw. W konstelacjach plam ujawniali się wisielnicy dyndający na drzewach, powieszzeni na klamkach czy hakach w suficie. Przewijały się napuchłe postaci topielców, spazmatycznie pokurczeni truciele leżący w kałużach własnych wymiocin, desperaci z rozchlastanymi żyłami. Trafiły się nawet zwłoki rozwłócone przez pociąg. Ażeby dopełnić tę kolekcję makabry, od czasu do czasu pojawiały się obrazy mordów i egzekucji.

Po godzinie Nataniel miał dosyć. Czuł złość przemieszana z obrzydzeniem. Nie rozumiał, czemu ma służyć podobna terapia. Starał się opisywać możliwie najkrócej, ale Lampet domagał się szczegółów. Kiedy wreszcie odłożył ołówek, był tak zmęczony i pełen niesmaku, że nawet nie odczuł ulgi.

- To wszystkie obrazki - powiedział sucho. - Mogę już iść?

Lampet siedział przy biurku, przeglądając notatki.

- Dlaczego się pan złości, Natanielu? - zapytał łagodnie, podnosząc na pacjenta uważne, pełne życzliwości spojrzenie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Zastanawiam się, dlaczego kazał mi pan opisywać te ponure obrazki? Co to miało dać? Wywołać szok? Niechęć? Nie wiem, jak podobna terapia ma mi pomóc odzyskać pamięć. Nie widzę związku.

Doktor westchnął ciężko.

- Może pan do mnie podejść? Proszę, niech pan spojrzy. Co pan widzi na tym obrazku?

- Znowu? - skrzywił się Nataniel.

- Tylko jeden rzut okiem, przyrzekam.

Z ociąganiem pochylił się nad kartką. W wannie leżała naga młoda kobieta. Ciało spoczywało bezwładnie, oczy były zamknięte. Z rozplątanych nadgarstków lała się krew.

- Samobójczyni w wannie - warknął ze złością. - Przecież już...

- Natanielu, niechże się pan skupi! - przerwał ostro Lampet. - Proszę!

- Mówiłem... - zaczął gniewnym tonem, ale urwał.

Ciepłe letnie słońce padło na obrazek, wydobywając z gąszczy zacieków więcej szczegółów, nowe znaczenia. Nataniel wytrzeszczył oczy, potrząsnął z niedowierzaniem głową. No tak, teraz widział wyraźnie. To, co brał za strugi krwi, w rzeczywistości było pianą z mydła. Jeden nadgarstek pozostawał w cieniu, dlatego wyglądał jak rozcięty. Na drugim połyskiwała cienka bransoletka. Dziewczyna miała zamknięte oczy, bo właśnie zanurzała głowę w pianie. Bolesne skrzywienie warg okazało się błogim uśmiechem. Długie ciemne włosy wziął za smugi krwi rozchodzące się po wodzie. Rysunek przedstawiał młodą kobietę w kąpielu. Czysta sielanka.

Wstrząśnięty zaczął przeglądać pozostałe obrazki.

Krzyżujący rozpaczliwie człowiek smażony na krześle elektrycznym siedział spokojnie w dentystycznym fotelu. Domniemany wisielec był akrobatą podciągającym się na drążku. Więźniowie brutalnie wpychani do pociągu okazali się pasażerami wybierającymi się na wakacje. To, co uznał za karabiny prześladowców, było w rzeczywistości wędkami, siatkami na motyle i raketami tenisowymi w pokrowcach. Ludzie z podniesionymi w górę rękami nie poddawali się, lecz machali wesoło odjeżdżającym. Pole pełne poskręcanych, dramatycznie porozrzucanych trupów okazało się plażą rojącą się od wczasowiczów. Teraz widział wyraźnie, że wypalone wraki i kikuty drzew to kosze plażowe i parasole od słońca.

Zdruzgotany odłożył na biurko plik kartek.

- Doktorze! - wyszeptał z trudem. - Dlaczego...? Dlaczego ja... widziałem tamte koszmary? Czy jestem potworem, mordercą?

- Ależ skąd! Zobaczył pan tylko to, czego się pan spodziewał, co pan chciał. A raczej co chciała pańska podświadomość. Te obrazy, ból, groza, rozpacz tkwią w panu, blokując wspomnienia. Trzeba będzie je uwolnić, aby się ich pozbyć. Na tym polega terapia. Wiem, że to trudne, ale robi pan postępy. Żyje pan w trudnych czasach, Natanielu. Wojna, zmiany, wiele goryczy i pretensji. Musi pan sam się ze sobą dogadać, poukładać swoje sprawy. A ja jestem tu po to, żeby pomóc. Tylko po to, proszę pamiętać.

Twarz Lampeta była spokojna, szczerą. Słowa budziły zaufanie. Ale Nataniel nie był jeszcze gotów, żeby się otworzyć.

- Dziękuję - powiedział sztywno. - Będę pamiętał.

Doktor potarł podbródek. Wydawał się zmęczony.

- Może pan już iść, Natanielu. Do zobaczenia jutro.

Pacjent skinął głową.

Kiedy mijał stolik z rozłożonymi kartkami i ołówkami, naszła go nagła ochota, żeby zabrać kilka. Prędkim ruchem sięgnął po przybory, nie chcąc, żeby Lampet zauważył. Ale bystremu oku dyrektora kliniki nie uszła ta drobna kradzież.

- Niech pan weźmie tyle kartek, ile panu potrzeba - odezwał się bez cienia drwiny. - Ołówek też. Proszę się nie krępować. Gdyby się skończyły, a pan pragnął dalej pisać czy malować, niech pan poprosi pielęgniarkę. Doniesie.

- Tak, dziękuję bardzo - wybąkał Nataniel, czując, że się czerwieni.

- Do widzenia - rzucił Lampet, wracając do swoich notatek.

* * *

Późnym wieczorem siedział na łóżku, wpatrując się z lekkim niedowierzaniem w kartkę. I wiersz, który na niej napisał. Był kiepski, więc zmiął papier, odrzucił w kąt.

Parna, upalna noc zaglądała mu ciekawie w okna, upstrzona cekinami gwiazd, ale niczego już nie napisał. Długo leżał bezsenne, wpatrzony w sufit. Dopiero o przedświcie zapadł w niespokojną drzemkę.

* * *

W blasku słońca olszyny straciły nieco ze swojej mrocznej tajemniczości. Ot, kępa niezbyt ładnych, rozczochranych drzew. Zaniedbany, poczerniały domek, tonący w morzu zielska, wydawał się jeszcze mniejszy niż nocą.

Gorące powietrze stało, nietknięte nawet słabym powiewem wiatru. Mimo upału Natanielowi zrobiło się zimno.

Musiały minąć trzy dni, wypełnione rozterkami i niepewnością, zanim zdecydował się tutaj wrócić. A teraz czuł się jak morderca odwiedzający miejsce zbrodni.

Wolno, starając się stąpać możliwie cicho, wszedł na taras. Stare deski zaskrzypiały, aż się wzdrygnął. Okiennice nadal były zamknięte. Lecz drewniane, wypaczone nieco drzwi wydawały się uchylone. Postąpił parę kroków. Tak, teraz widział wyraźnie ciemną szramę wzdłuż framugi.

Ostrożnie, jakby klamka mogła go ukąsić, popchnął drzwi. Otwarły się z cichym stęknieniem zawiasów. W środku zalegał głęboki półmrok. Pachniało lekko stęchlizną.

Serce Nataniela uderzyło mocniej, wyteżył wzrok w poszukiwaniu połamanych mebli, śladów krwi, sam nie wiedział czego. Wsunął się do pokoju. W smudze światła padającej od wejścia zobaczył drewniane łóżko, stolik, pojedyncze krzesło, metalową toaletkę z lustrem. Zwykle, nieco staroświeckie meble. W powietrzu drobiny kurzu tańczyły niczym mikroskopijne elfy. W ogóle mnóstwo tu było kurzu.

Delikatna szara warstewka przykrywała wszystkie sprzęty jednolitym, bladziutkim kirem. Nataniel spojrzał pod nogi. Także podłogę pokrywała równa warstwa pyłu. Odznaczały się w niej wyraźnie jedynie ślady jego butów.

Podszedł do stołu, przesunął palcem po blacie, znacząc powierzchnię ciemną, wyraźną kreską.

Rozejrzał się bezradnie. Nie mogło być wątpliwości. W tym domku od lat nikt nie gościł.

Może się pomyliłem, pomyślał zbity z tropu. Może chodzi o inny budynek?

Wycofał się na werandę.

Nie, o pomyłce nie mogło być mowy. Poznawał olszyny i chaszczę. Przez gęstwą gałęzi majaczyła na wpół zbutwiała altana z orientalnym kapeluszem dachu, a z oddali dochodził gniewny bełkot strumienia.

Rozsypali kurz, żeby zatrzeć ślady? - przebiegła mu przez głowę rozpaczliwa myśl. No nie, to było zbyt absurdalne. Po co mieliby to robić? Zresztą nigdy nie dbali o takie drobiazgi. Znowu halucynacje? Boże, chyba tak.

Nie miał pojęcia. Niczego już nie był pewny.

Ścisnął pięściami skronie.

Stary, z twoją banią jest bardzo, bardzo niedobrze! Co tam zaniki pamięci! Teraz musisz jeszcze

walczyć z całym widmowym światem, który wlewa się szeroką strugą do twego zwariowanego umysłu. I co ty na to?

- Kiepsko to widzę - szepnął sam do siebie.

- Tu do oglądania nic nie ma! - szczechnął za jego plecami poirytowany głos.

Drgnął wystraszony. Obrócił się błyskawicznym ruchem i spojrzał wprost w ciemną jak orzech, skurczoną twarz świętej ze starej ikony. Takie same półokrągłe, czarne łuki brwi, przenikliwe guziki źrenic, wąski nos, niechętne, drobne usta. Spod burego czepca wystawały sztywne niczym końska grzywa kosmyki włosów.

- Kim pani jest? - wymamrotał trwożnie. - Co pani tu robi?

- A sprzątam i porządku pilnuję! - wypaliła gniewnie. - A on? Co on tu ma za interes, a?

Nataniel z trudem przełknął ślinę, odetchnął głęboko, żeby uspokoić walące tętno.

Dobry Boże, znowu zrobił z siebie błazna. Domniemana, objawiona tak niespodziewanie święta miała na sobie szary kitel posługaczki, a w sękatach garściach ścisnęła szczotkę na kiju i wiadro z wodą.

Uśmiechnął się uprzejmie.

- Jestem pensjonariuszem „Magnolii” - wyjaśnił już spokojnie. - Wybrałem się na spacer i...

Brunatnego, bizantyjskiego oblicza nie rozświetlił nawet cień uśmiechu.

- Mnie tu żadnych spacyrów nie trza! - burknęła. - Idzie stąd i nie przeszkadza! A bo to dohotor Lampet, dobrodziej, wie, że tak się badzia, gdzie nie potrza, a? Pożytecznego by co zrobił, nieudałota. Spacyrować się takiemu zachciało! Widział to kto!

- A co w tym złego? - Wzruszył ramionami. - Dlaczego niby nie wolno tu przychodzić? Co tu chowacie? Macie jakąś tajemnicę? Trzymacie tu kogo w zamknięciu czy co?

Posługaczka parsknęła pogardliwie, machnąwszy ręką.

- Tu? Chyba że świnię! Tu wszystko gnije, butwieje! Tyle dobra na zmarnowanie. Inakszy kiedyś było, wytwornie, chałupki pięknie wymalowane, postrojone. Ale coś tam ponoć daleko z rzeką zrobili i woda teraz pod domy podchodzi. Zgnilizna i błocko, ot tyle! Struga co roku wylewa. Słyszysz, jak się pieni, jak gada? Zła taka, gadzina. Nie wykpiła jeszcze, bo gorunc ją suszy. Ale wykipi, zobaczy, że wykipi! Jak tylko mgły przyńdą, rozleje się jak nic!

- Mgły? - Nataniel podskoczył jak dźgnięty szpikulcem. - Jakie mgły? Co to znaczy, do diabła?

Spojrzała na niego nieufnie, nagle spłoszona.

- Ano, mgły - mruknęła. - Taka pora, że się szykują. Jak zwykle. Przychodzą i odchodzą. A rzeka potem wylewa. Tak zawsze jest, no co durnego struga? Wie przecież!

- Co wie, cholera? - zirytował się.

- O mgle. Opar w lesie stoi, kiedy nadejdzie jego pora. A potem odchodzi. I spokój jest, aż znów jego czas będzie. Ot tyle. Tajemność cała.

Ciemna twarz starej zrobiła się zacięta, twarda jak stary sęk. Patrzyła na Nataniela z uporem w oczach. Wiedział, że nic już z niej nie wycisnie. Ale i tak czuł się rozczarowany.

- Zaraz - mruknął. - To znaczy, że o pewnej porze roku przychodzą mgły? Tak po prostu? Rzeka się podnosi, podchodzą wody gruntowe, parują w gorącu i powstają opary? I tyle?

Pociągnęła z irytacją nosem.

- Ja tam nie wiem. Mgły są i już! Niech idzie wreszcie! Mnie za robotę płacą, nie gadanie! No, idzie, mówię! I nie przyłazi tu więcej! Słyszysz, a?

Szurgnęła szczotką tuż obok butów Nataniela.

- Słyszysz - burknął zezłoszczony. - Nie ma po co się tak awanturować.

Nie odpowiedziała.

Zszedł z tarasu i człapiąc w błocie, ruszył w stronę głównych zabudowań kliniki.

Mgły, pomyślał z nagłą złością. Tajemnice, widma, poetyckie zrywy. I partyzanci trzymani o chlebie i wodzie. Brednie rodem z kiepskiej literatury przygodowej. Więcej rozumu, Monte Christo! Rozsądek się teraz sprawdza lepiej od bajek. Pragmatyzm. Trzeźwość umysłu i twórcze poddanie idei. Nie pleć głupstw, tylko podaj cegłę! Budujemy sojusz robotniczo-chłopski! Tu nie ma miejsca na romantyczne porywy, bracie. Lepiej o tym pamiętaj! Dobrze ci radzę!

* * *

Zobaczył ich na ganku kliniki. Wcale się nie kryli. Letycja chichotała, przekrzywiając kokieteryjnie główkę. Niby od niechcienia skubała guzik na torsie jego białego kitla. Cyprian miał na twarzy pobłażliwy uśmiezek. W pewnej chwili pochylił się i zaczął szeptać wprost do ucha dziewczyny. Zaśmiała się krótko, ale zaprzeczyła zdecydowanym gestem.

Nie miał ochoty widzieć więcej. Skręcił za róg, dlaczegoś nagle rozwścieczony jak sam diabeł.

Nic mnie to nie obchodzi! - powtarzał sobie w kółko. Nic a nic!

Ale paskudny chochlik w duszy mówił co innego.

Tyle jest właśnie warta! Dokładnie tyle warta! - pieklił się Nataniel, wielkimi krokami sunąc przed siebie. Guzik! Guzik u koszuli tego podstępnego, jurnego matoła!

Skręcił gwałtownie za róg budynku i z impetem zderzył się z Rychterem.

- Przepraszam! - warknął, zastanawiając się, dlaczego ten stary głupiec nie może, do cholery, uważać.

Pułkownik stał, sapiąc, wyraźnie zdyszany, a zielonkawe, puchate jak wodorosty wąsy falowały przy każdym oddechu.

- A, to pan, młody człowieku! - wyrzucił z siebie, wykrzywiając twarz w uśmiechu. - No, kto by pomyślał! Ja...

Nataniel zmierzył go chłodnym, niechętnym spojrzeniem. Nie darzył sympatią tego groteskowego starca w przedpotopowym mundurze i zwykle starał się unikać z nim kontaktu. Rychter bowiem miał zwyczaj brać pensjonariuszy pod ramię i konspiracyjnym szeptem przekonywać, żeby broń Boże nie podpisywali żadnych papierów, bo z tego nieszczęście gotowe. Minę miał przy tym żalostną niczym zbity pies, a wodniste, blade oczy szklące się od łez.

Ot, kanalia, myślał teraz Nataniel, patrząc w te rozmazane, zatroskane źrenice. Pewnie kapuś parszywy. Ze strachu podpisał kto wie jakie donosy, jakie kłamstwa i oszczerstwa, ludzi na tortury i śmierć posłał. A teraz się płaszczy, że niby żałuje, glista.

- Niepotrzebnie się pan zamartwia, pułkowniku - wycedził przez zęby. - Ja żadnych papierów nie podpisywałem, zapewniam.

Stary człowiek pospiesznie zaczął kiwać głową.

- To dobrze, bardzo dobrze, kochany chłopcze! Ja zawsze powtarzam, toż to straszna rzecz taki papier! Ale nie o tym ja chciałem z panem mówić. Bo to traf jaki szczęśliwy, z nieba mi pan chyba spada! Już myślałem, że pana nie znajdę...

- Pan mnie szukał? - przerwał niezbyt uprzejmie Nataniel. - A po co, jeśli wolno wiedzieć?

- Toż tłumaczę, młody człowieku! - dmuchnął w wodorosty wąsów. - Dzisiaj wszyscy w gorącej wodzie kąpani, spieszą się i spieszą Bóg raczy wiedzieć dokąd. Ja szukałem pana, bo on pana szuka. To znaczy wie, że pan szuka jego, i dlatego chciałem, żeby znalazł pana...

Nataniel poczuł chłodny dreszcz na karku. Odruchowo zniżył głos.

- Kto, człowieku? Kto kazał panu się ze mną kontaktować?

Dobrotliwy grymas na twarzy pułkownika zmienił się w lekko drwiący uśmiezek. Maślane spojrzenie wyostrzyło, niebieskawe tęczęwki pociemniały, zrobiły się stalowe i przenikliwe. W jednej chwili zwariowany starzec znów stał się dawnym oficerem liniowym.

- Przecież pan dobrze wie - powiedział. - Prawda? Proszę nie udawać duraka. Czeka w starych termach. Przy basenach do leczniczych kąpieli. No, niech pan się pospieszy. Pan rozumie, on nie ma zbyt wiele czasu. I żadnych pytań! Czas płynie, młody człowieku.

Uniósł rękę i pstryknął palcami tuż przed oczami zdumionego Nataniela.

- Mgnienie - dodał szeptem. - Po prostu mgnienie. Tak to już jest z czasem. No, idźże pan! Szparko, dobrze radzę!

Nataniel zawahał się tylko przez moment, zanim ruszył biegiem w kierunku term.

Budynek białął w słońcu, długi i wąski jak piszczał. Kolumnada podpierająca od frontu spadzisty dach przypominała antyczny las. Ale tym razem spoza marmurowych pni nie miała się wyłonić żadna Minerva.

Szerokie drzwi, kołyszące się na jednym zawiasie, wybite kopniakiem otwały się z hukiem. W środku panował miły chłód, niczym wspomnienie zimnej, ożywczej wody. Nataniel odczekał chwilę, zanim wzrok przyzwyczaił się do łagodnego półmroku. Mrożone szyby w oknach przesłaniały bowiem firanki kurzu i pajęczyn.

Ruszył przez obszerny hall, rozglądając się nerwowo. W pierwszej chwili chciał zawołać tajemniczego partyzanta, ale głos uwiązł mu w gardle. W tym samym momencie przeklął się za głupotę i hałasy przy wejściu. Jeśli więzień wyznaczył tutaj spotkanie, z pewnością zdołał uciec prześladowcom, więc wykrzykując bez sensu, mógłby tylko go zdradzić.

Sunął ostrożnie, starając się możliwie cicho stawiać stopy na terakotowej podłodze łaźni. Amfiladowe pomieszczenia otwierały się przed nim, ziejąc zdradliwymi wykrotami basenów lub lśniąc blado mosiądzem i porcelaną kolejnych urządzeń łazienkowych. Wśród wybrzuszonych wanien i staroświeckich umywalni czuł się trochę jak Ala w krainie czarów, bohaterka książeczki, którą czytał w dzieciństwie.

Szedł powoli, rozglądając się uważnie. W półmroku ukrywały się cienie, zalegały w kątach, kryły się za fortyfikacjami cembrowin, pełzały jak pytony po mosiędzach rur. Pusta łaźnia przywodziła na myśl opuszczoną świątynię prastarego boga albo jakąś okropną rytualną rzeźnię, gdzie wszystko urządzono tak, żeby jak najłatwiej splukać ślady krwi. Nawet zapach unosił się w powietrzu jakiś żelazisty, słonawy.

Nataniel poczuł się nieswojo. Wydawało mu się, że obserwują go niewidzialne, uważne oczy. To już nie była kraina czarów, tylko zamek mrocznego kościeja.

Zastanowił się przez moment, czy nie zawrócić. Przecież łaźnia była bardziej pusta niż splądrowany egipski grobowiec. W końcu nie miał powodów ufać Rychterowi. Może staruch zrobił mu paskudny kawał albo chciał go wprowadzić w zasadzkę?

Ta myśl wydała mu się tak absurdalna, aż parsknął z pogardą.

Jasne, zaraz wpadnie do basenu pełnego zaostrzonych pali, a zwariowany oficer będzie do niego strzelał z dmuchawki zatrutymi zapałkami.

Zaśmiał się cicho, budząc niespokojne echa wśród mosiężnych kokonów bojlerów.

I wtedy ją dostrzegł. W ciemnym, przesłoniętym parawanem kącie. Ledwo majaczącą w mroku.

Leżała w płytkim baseniku, z głową wspartą o krawędź i nienaturalnie podwiniętymi nogami. Wyglądała jak lalka, którą niesforne dziecko zrzuciło ze strychu kamienicy. Cała połamana, w poszarpanych łachach zalepionych krwią. Nabrzmiała twarz była sina, cała w skrzepach. Jedno oko, chyba wybite, zaklejała brunatna maź z żółtawymi smugami ropy. Drugie patrzyło spod czerwonej i

czarnej maski strupów, błękitne niczym szklany koralik z odpustu. Żyła jeszcze, ale chyba samą siłą woli. Pierś poruszała się w płytkim, spazmatycznym oddechu. Wtem jedyne oko zaczęło mętnieć, blednąć. Czarne, rozbite usta rozchyliły się, bezskutecznie próbując pochwycić haust powietrza. Ciałem wstrząsnął dreszcz.

Nataniel zatoczył się, wpadł z łomotem w stertę miedzianych cebrów. Otwierał usta jak wigilijny karp, nie mogąc dobyć głosu.

- Wiesia! - wychrypiał straszonym głosem. - Wie...

Nie miał pojęcia, skąd zna jej imię.

Opadł na kolana, na czworakach zaczął się czołgać w stronę konającej. Przerazenie dławilo płuca, mąciło w głowie.

Skąd się tu wzięła? Jak jej pomóc? Kto to zrobił? W tej chwili żadne pytanie nie miało znaczenia. Dziewczyna jęknęła, wyprężyła się i znieruchomiła.

Za późno, za późno! - pomyślał z rozpaczą.

Podpełzł bliżej, wyciągnął ręce.

- Wiesia!

Załamione oczy niemal nic nie widziały w ciemności. Palce natrafiły na zbutwiały materiał. W nozdrza uderzył smród pleśni.

Nataniel wyprostował plecy, przetarł kułakiem powieki. I długo siedział w milczeniu.

- Taaa - mruknął w końcu. - To ci były emocje.

Przed nim, w niecce basenu, leżał stary manekin krawiecki. Zeżarty przez mole i całkiem już stoczony pleśnią. Ktoś, pewnie jakieś dziecko, dla żartu wyhaftował na płóciennej głowie otwarte usta. A jedyne błękitne oko okazało się guzikiem. W miejscu drugiego oczodołu ziała dziura aż do wypchanego trocinami mózgu. Kukłę spowijały stare szmaty w brunatnym kolorze. To, co Nataniel wziął za połamane nogi, było w rzeczywistości fragmentem podstawy, na której wspierał się manekin, i kawałkiem potrzaskanego krzesła.

Kiedy tylko odzyskał władzę w nogach, wstał i starannie otrzepał spodnie.

- Dobranoc, Wiesiu - rzucił zjadliwie. - Bodaj cię diabli wzięli. Jezu, mało brakowało, a dostałbym przez ciebie ataku serca.

Teraz stracił już resztki chęci, żeby dalej penetrować łaźnię. Odwrócił się gotów odejść, ale wtedy z oddali usłyszał wyraźnie słaby jęk. Wyteżył słuch. Nic.

- Hej! Jest tam kto? - zawołał stłumionym głosem.

Wszędzie panowała cisza. Gdzieś w oddali miarowo kapiała woda. Może to jednak nie był jęk, tylko zawodzenie starej kanalizacji.

To wszystko nadal działa? - zdziwił się, trącając suchą, ozdobnie wygiętą szyję kranu.

Pochylił się, żeby odkręcić kurek, i wtedy zobaczył na spękanej emalii umywalki brunatną smugę. Ślad skrzepłej krwi. Przykucnął. Podłogę także znaczył ścieg rdzawych plamek. Podpis partyzanta.

Nataniel wyprostował się, prawie biegiem ruszył przed siebie. Zbieg był pewnie ranny, potrzebował pomocy. Dlatego po niego posłał.

Minął w pędzie płataninę rur, szpaler natrysków, miedziane kokony bojlerów zwieńczone szklanymi cylindrami, mętnymi od osadów. Ale na progu małego pokoju z płytkim basenem w podłodze zatrzymał się jak wryty.

Białe niegdyś ściany aż po sufit zabazgrane były krzywymi, kulfoniastymi napisami. Brunatne i rdzawe litery wpadały na siebie, splatały się w uściskach, przewracały. Słowa, stłoczone, nerwowe, pełzły po kaflach, po tynku, zataczając się zaciekami krwi.

Znał je. Te wściekłe frazy, przepojone bólem i nienawiścią wersy. Tchórzliwe metafory, tchnące

jadem przerzutnie. Pamięć wyświetlała je wszystkie wraz z obrazem innych ścian, rozbitych mebli, łańców wałających się po podłodze, gołej żarówki na drucie, gorącej, lepkiej czerwieni ciekącej po rękach, rozmazywanej po twarzy.

Nie mógł się ich wyprzeć, zapomnieć. Własnych wierszy.

W jednej chwili w opalizujące jezioro amnezji wlały się żrące niczym kwas wspomnienia, zawrzały i wykipiwały.

* * *

Tamta noc, brudna, szara, dżdżysta, cuchnąca jak ściera dworcowej sprzątaczkii. Wynajęty pokój, szkaradne kalectwo kulawych sprzętów, beznadzieja mazowiecka, ojczyzniana, ludowa. I wódka. Mnóstwo ciepłej, podłej wódki, lejącej się przez gardło oleistą, gęstą rozpaczą, strachem śmierzącym fuzłami.

A jednak za mało, za mało tego wszystkiego, żeby brzytwa cięła jak trzeba, więc tylko ściegi czerwonych kropel na brudnych dechach podłogi i słowa wrzeszczące ze ścian, bazgrane w furii, zamroczeniu, nienawiści i odrazie.

Tylko skąd się wzięły te mroczne widma, twarze, niegdyś tak bliskie, dziś wykrzywione pogardą i gniewem? Patrzył im w oczy. Patrzył w głąb nienawiści, w źrenice przepastne jak piekło. Widział wyraźnie sińce, strupy, krwawe wybroczyny na policzkach, czołach, skroniach. Widział rozbite, poczerńiałe usta wykrzywione szyderczo. Krwawe jamy bez zębów, otwierające się, żeby oskarżać. Połamane palce wskazujące winnego.

Winnego!

Nie! Przecież to nie tak! Nieprawda! Nie zrobił nic złego, nic złego! Chciał tylko znów żyć normalnie. Nie kryć się po ziemiankach jak dzikie zwierzę. Nie walczyć już, na Boga, nie walczyć! Bez przerwy, nieustannie, do końca.

Wróg, wszędzie wróg. Nie mógł już znieść tych wrogów, uciezek, strzelanin. Był za słaby, zbyt zmęczony. Jezu Chryste, czy to taki grzech?! Czy to najgorsza z ludzkich przewin, strach i kapitulacja?

Nawet Ty się bałeś, Boże! Nawet Ty drżałeś i lękałeś się w Ogrodzie Oliwnym! A ja w lesie! Samotny wśród przyjaciół, znużony, zdecydowany nie pić już więcej z kielicha goryczy. Nie każdy jest jak Ty! Nie każdy jest jak oni, dawni bracia, towarzysze broni, zawsze niezłomni, zawsze kamienni, bo tak uczył ojciec, matka i ojczyzna.

Dlaczego milczysz?! Dlaczego oni milczą z Tobą, Twoi mroczni aniołowie gniewu?! Dlaczego nie chcą zrozumieć?!

Ale widma odwracały tylko głowy, osuwały się w ciemność, zaciekle i żądne zemsty.

Nie ma przebaczenia! Nie ma przebaczenia! Nigdy! - krzyczała gorąca posoka.

Więc znów musiał zrobić to, co tak dobrze mu zawsze wychodziło. Uciekać.

Pamiętał, jak bluźnił, kłął, ryczał i płakał, rozsmarowując wszędzie krew, niezdolny skończyć wreszcie, odejść, zbiec w ciemność. Trwożne głosy sąsiadów, piskliwe błagania wdowy Mirosławy Ławczyk, od której wynajmował pokój, podekscytowane okrzyki dzieci. I szmery wielu głosów pod progiem.

Wariat, ja pani mówię, kochana! Całkiem jemu na mózg padło. Jeszcze zabije kogo, diable nasienie!

Albo już zabił, pani zobaczy! Pewnie bandyta jaki! Reakcjonista! Wróg ludu!

Boże, co sąsiad gada?! Ale za co, za co, Matko Przenajświętsza! Ja uczciwa obywatelka jestem! Sąsiad wie! Sąsiad zaświadczy! Jemu od początku źle ze ślepiów patrzyło!

Ostrzegalem was, Lawczykowa, aleście nie słuchali!

Jezu, ratuj! Przecież ja nic nie wiedziałam, nic nie wiedziałam!

Szloch.

A potem łomot do drzwi, krzyki, że milicja, że dosyć chuligaństwa, że cicho.

I widmowa twarz Człowieka o Grubych Palcach, przecięta szyderczym uśmiechem, unosząca się pod sufitem w charakterze nieuchronnego memento. To wystarczyło, żeby otworzył okno, skoczył w ciemność, na pochyły daszek ganku, na klepisko podwórza, biegiem, w kierunku pól, w stronę torów kolei, gubiąc w popłochu czerwień kapiącą z poharatanych przedramion.

* * *

Nie wiedział, jak znalazł się na zewnątrz. Zmrok zapadał ponad dachami „Magnolii”, powietrze było ciężkie, gorące, kleiste niczym lawa. Między gałęziami drzew wisiały strzępy bladego mgiełnego oparu.

Łapał oddech otwartymi ustami, bezwiednie przyciskał dłonie do piersi, jakby chciał ugłaskać szarpiące się dziko serce.

Skąd wiedzieli? Skąd Lampet wiedział? Boże, to obłąd! Przepisali je ze ścian Lawczykowej, a teraz idealnie odtworzyli, bazgroł w bazgroł, kropka w kropkę? A krew? Przecież to była krew! Czyja, na litość pańską? Tamtego? Partyzanta? Jezu Chryste!

A te upiory, które wtedy przywoływał z pamięci? Kto to był, na litość boską?! Towarzysze, którzy zginęli? Widmowa armia domagająca się, żeby do nich dołączył? Nie pamiętał ich twarzy. Nic mu nie mówiły, niczego nie przypominały. Dlaczego tak się wtedy zadręczał? Przecież jest niewinny. Ma czyste sumienie.

O co tu chodzi, do diabła? Kim byli ci ludzie?

Zadrzał ze zgrozy.

To jakaś mistyfikacja. Perfidny plan Lampeta i bandy ubeków. Na pewno.

Ale po co to zrobili? Po jaką cholere?

Ścisnął palcami skronie.

Ja wariuję, pomyślał. To właśnie ich plan. Doprowadzić mnie do obłądu.

Zachichotał nerwowo. Jak na razie szło im świetnie. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego tak go przeceniają. Przecież był zwykłą płotką, dzieciakiem z karabinem, który dawno temu w lesie nie chciał przyjąć do wiadomości, że sowieckich mundurów nie należy dziurawić kulami, bo niby są lepsze niż niemieckie.

Przez moment zapragnął wrócić do budynku term, jeszcze raz spojrzeć na zabazgrane krwią ściany. Ale wystarczyło jedno zerknięcie na rozdziawioną czeluść drzwi, żeby poczuł ucisk w gardle i miękkość w kolanach. Nie, absolutnie nie był w stanie znów tam wejść. Więc co powinien zrobić? Wpaść do gabinetu tego szarlatana Lampeta, wrzeszcząc, że poznał prawdę, zrozumiał wszystko? Że chcą go ogłupić, zmamić, pomieszać mu w głowie? Przecież tamci tylko na to czekają. Taki atak byłby wodą na ich młyn, dowodem, że ma nierówno pod sufitem. W żadnym razie nie wolno mu zdradzić wzburzenia. A z tą kanałią Rychterem policzy się później. Od początku wiedział, że diad jest w zмовie z personelem. Kapuś zasrany. Kto raz sypnie, zawsze już będzie gnidą.

Odetchnął głęboko.

Uspokój się, nakazał sobie stanowczo. Przede wszystkim uspokój się! A potem myśl.

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Przekonał się, że z ośrodka nie ma ucieczki. No, w każdym razie to trudniejsze, niż przypuszczał. Na razie powinien się przycisnąć, udawać, że prowokacja nie zrobiła na

nim wrażenia. Jakby nigdy nie chodzić na zajęcia, do stołówki, gawędzić, przechadzać się. Niech się Lampet wkurzy. Wtedy łatwiej popełni błąd.

A każdy błąd to punkt dla ciebie, bracie, uśmiechnął się w duchu. Potem się zobaczy, jak go wykorzystać.

Już zdołał się trochę opanować, już nie dygotał w środku, nie słyszał galopującego w skroniach pulsu, choć wciąż odwracał wzrok od białej piszczeli term.

Dopiero teraz ochłonął na tyle, żeby rozejrzeć się wokoło i stwierdzić, czy nie jest obserwowany. Mogli przecież śledzić wynik swojego parszywego eksperymentu.

Zaniepokojony obrzucił szybkim spojrzeniem pobliskie krzaki i inne możliwe kryjówki. Ani śladu życia. Żadnego ruchu, dźwięku, rozblęsku, jakby świat nagle zamarł. U uszach dzwoniła cisza.

Wieczór rozlewał już po niebie atrament mroku, a ośrodek wydawał się dziwnie bezgłośny i wyludniony. Tylko opar jakby trochę zgęstniał. Pnie drzew zdawały się grubo, lecz niechlujnie poowijane pasmami gazy, przybierając wygląd ciągnących do lazaretu maruderów. Wciąż było wściekle duszno, w dziwnym, rozproszonym świetle las wyglądał widmowo, umilkły ptaki, żaby i owady.

Nataniela przeszedł dreszcz.

Chyba nadchodzi słynny Czas Mgieł, przypomniał sobie. Złe dni dla tutejszych wariatów.

Lepiej wrócić do pokoju, zdecydował. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył go przy termach. Wciąż był jeszcze wzburzony, musiał w spokoju przemyśleć wiele rzeczy, a tylko kwatera ofiarowała mu względny spokój.

* * *

Nie mógł zasnąć. Leżał na łóżku, kompletnie ubrany, nie zdjęwszy nawet butów, i przewracał się nerwowo w lepkiej, przesiąkniętej potem pościeli, wsłuchany w martwą ciszę, która zdawała się sączyć z lasu, promieniować przez ściany, wysysać oddech. Okropny, duszny upał spowijał pokój ciężkim kirem. W powietrzu unosił się niewyraźny, choć wyczuwalny smród. Słodkawy, mdlący jak odór padliny.

To pewnie z rzeki. Wyszła od gorąca. Ale dlaczego wszędzie tak cicho? Czy mgła jest w stanie do tego stopnia tłumić dźwięki? - zastanawiał się z niepokojem. Jeśli nie, to gdzie się nagle podziały wszystkie żywe stworzenia? Pojechały na urlop?

Noc zagłądała w okno przez szparę w storach, szara, mleczna od mgły, blada niczym twarz trupa. Nataniel najchętniej by wstał, żeby zaciągnąć szczelniej zasłony, ale jakaś irracjonalna, dziecięca obawa kazała mu zostać w łóżku, jakby mógł się ustrzec przed złem, naciągając kołdrę na głowę.

Bo zło czaiło się gdzieś w mroku, tuż obok, za ścianą. Wyczuwał jego powolny, dudniący krwią w skroniach puls, kiedy w całkowitej ciszy dyszało w szpary między deskami w pokoju chłopaka zwanego Supłem.

To był pierwszy dźwięk, który dobiegł do jego uszu. Powolny, gorący oddech zła. A potem szmery, delikatny odgłos skrobania i szepty. Nie takie, do jakich zdążył się przyzwyczaić, słuchając płaczliwych monologów Supła. Chrapliwe, syczące, nieludzkie, straszne.

Wstrząsnął nim dreszcz, bo zrozumiał już, z jakiego gardła mogły się wydobywać. Nie słyszał w nich błagania, strachu, rozpacz, tylko porażającą nienawiść.

Stara kobieta za ścianą obrzucała swego syna błotem obelg, szyderstw i przekleństw.

A on bronił się cichym, zacieklym, zduszonym głosem, głosem człowieka doprowadzonego na skraj piekielnej czeluści.

Ty gównu, gównu, gównu, czekasz na moją śmierć tylko, przyznaj się, czekasz, ty łotrze, ja cię znam, ja cię znam, gównu śmierdzące, śmieciu, śmieciu, śmieciu, w przeklętą godzinę cię rodziłam, ty mi życie złamałeś, złamałeś, a teraz zabijasz, zabijasz, gównu, gówniarzu, śmieciu, śmierć tylko...

Mamo, ja nie mogę, nie mogę już słuchać, dość, mamu, niech mama zamilknie, niech mama przestanie, och, dość! ZAMILKNIJ WRESZCIE!

I łomot, jakby coś się waliło, stół albo krzesło. I krzyki, stłumione rżenie, charkot.

Nataniel usiadł na łóżku. Jakaś część jego duszy z całej siły pragnęła zignorować hałasy, ale rozsądek zmuszał do interwencji. Nie lubił wtrącać się w nie swoje sprawy, lecz sytuacja wydawała się groźna. Prawdopodobnie do Supła przyjechała w odwiedziny jego równie niezrównoważona matka, pełna pretensji i żalów do syna, a teraz rodzinna sprzeczka wymknęła się spod kontroli.

Innego wytłumaczenia nie było.

Ścisnął palcami skronie.

Nie było, bo nie mogło być, powtórzył w duchu.

Wrzask wybuchł z siłą rozrywającego się granatu. Drewniane przepierzenie zdawało się drgać od eksplozji gniewu i nienawiści. Znów rozległ się trzask łamanego mebla, coś ciężkiego bezwładnie zważyło się na podłogę. Padały miękkie, głuche ciosy, jakby kucharka obijała pałką udziec na pieczeń. I charkot, i straszne jakieś, rozpaczliwe skrobanie, jakby paznokcie darły surowe drewno, a w końcu zwierzęce wycie Supła.

Nataniel zerwał się na nogi, załomotał pięścią w ścianę.

- Co się tam dzieje?! - krzyknął. - Proszę natychmiast przestać!

Odskoczył, gdy coś łupnęło w ścianę, aż zadudniły deski. Starucha zakrakała jak wrona, głosem pełnym furii i triumfu. Gdzieś w tle chłopak zawodził monotonicznie, miarowo niczym silnik na zbyt wysokich obrotach. Kolejny łomot i jęk przerodził się znów w świdrujący, wysoki wrzask. Nataniel przypadł do ściany.

- Proszę przestać! Słyszysz pani?! Zawołam sanitariuszy! Doktora Lampeta! Proszę się uspokoić! Supeł, co się dzieje?! Odpowiadaj, do diabła!

Ze szpar w przepierzeniu buchnął kolejny straszny krzyk. I chichot, od którego Natanielowi ciarki przebiegły po plecach.

- Idę tam! - zawołał. - Dość tego, rozumie pani?! Nie pozwolę nikogo skrzywdzić!

Wybiegł na werandę, szarpnął klamkę sąsiednich drzwi. Nie ustąpiła. Zamknięte. Tego się, oczywiście, spodziewał.

- Niech pani otwiera, bo wyważę! - zagroził.

Odpowiedziała mu cisza. Wszelkie odgłosy za drzwiami ucichły niczym ucięte brzytwą. Noc, ustrojona w mgłę, milczała jak niema.

Nataniel podrapał się w kark, swędzący od spływającego z włosów potu. Powietrze było rozpalone jak piec.

- Otwórzcie albo wejdę siłą! - powtórzył, dla podkreślenia wagi słów waląc pięścią w drzwi.

Odczekał moment, ale zamek nie szczęknął. Prawdę powiedziawszy, nie ozwał się najmniejszy bodaj szelest. Nataniel ostrożnie przyłożył ucho do framugi. Nic.

Cofnął się skonsternowany.

Udają, że wszystko w porządku, i czekają, aż sobie pójdę, pomyślał. Supeł boi się odezwać albo stracił przytomność. Boże, co za idiotyczna sytuacja! Może jednak powinienem pójść po Lampeta.

Ale po prowokacji w łaźni czuł do dyrektora kliniki jedynie głęboką odrazę.

Znowu zastukał, tym razem delikatniej.

- Proszę otworzyć, chcę tylko pomóc - zaczął łagodnie. - Nie zrobię wam nic złego.

Milczenie.

Rozejrzał się bezradnie. Mógł wprawdzie spełnić groźbę i wyłamać drzwi, ale wolałby tego uniknąć. Niestety, okiennice zamykały okna. Spróbował odemknąć najbliższą, ale widocznie była zabezpieczona od wewnątrz, gdyż nie ustąpiła ani o milimetr. Wsunął palce w szczelinę u dołu, żeby podważyć skrzydło, i zamarł.

Ze szpary w okiennicy patrzyło na niego okrągłe, wytrzeszczone z przerażenia oko Supła. Powieka niczym szkarłatnym cieniem podmalowana była krwią.

- Chłopcze, nic ci nie jest? Zaraz... zaraz ci pomogę... - szepnął wystraszony.

Skóra wokół oka przypominała miękkie surowe ciasto. Z cienia wyłoniły się rozbite, poznaczone brunatnymi grudami skrzepów usta. Natanielowi przywodziły na myśl rozdeptane maliny.

Krwawe wargi poruszyły się nad cyklopim ślepiem, nieruchomym i martwym.

- Niech pan stąd ucieka! - zaskrzeczał głos. - To wszystko są diabły! Diabły! Rozumie pan?!

Drgnął.

- Poczekaj, co...

Nie miał szansy skończyć. Z mroku za chłopakiem wystrzeliła pokrzywiona starcza ręka z czarnymi szponami paznokci. Sina, zgniła skóra odchodziła płatami, odsłaniając żółtawe patyki kości. Nagie ścięgna napinały się jak sznurki, kiedy palce wpiły się we włosy Supła. Dłoń szarpnęła, zdzierając skórę z czaszki. Przez moment błysnął białą goły czerep, w jednej chwili zalany strugami gorącej posoki. Rozgniecione maliny rozwarły się w histerycznym wrzasku, lecz żaden dźwięk nie wydostał się spoza szyby.

Nataniel stał na werandzie oniemiały. Otwierał usta, ale nie był w stanie krzyknąć. Patrzył tylko nieporuszony, jak krwawa twarz osuwa się, zostawiając na oknie smugi czerwieni.

A potem odwrócił się i tłumiąc wzbierający w piersi ni to szloch, ni to chichot, rzucił się w gęstą od mgły noc.

* * *

Uciekał. Był dalej od koszmaru, od maligny, od grozy. Gałęzie chłostały go po twarzy, nogi plątały się w zaroślach, pnie zastępowały drogę, ale nie zważał na nic. Chciał tylko utopić w ciemności lasu przerażającą twarz Supła, którą wciąż widział przed oczami, krwawą niczym świeżo wypalone piętno.

Zabiła go! - myślał z przerażeniem. Ta stara suka go zabiła! Dobry Jezu! Niepoczytalna wariatka zamordowała własnego syna!

Lecz choć bardzo pragnął wierzyć w to, co podpowiadał rozsądek, w głębi duszy wiedział, co wydarzyło się naprawdę. Widział to, do diabła! Widział własnymi ślepiami! Matka Supła rzeczywiście przybyła z wizytą, tyle że z samej otchłani piekła, wiedzona nienawiścią i pragnieniem zemsty. Martwa od lat nawiedzała swego nieszczęsnego syna, który zabił ją w akcie desperacji, a teraz sam...

- Milcz! - wrzasnął.

Z przerażenia dzwoniły mu zęby, dłonie telepały się jak zdychające ryby. Zatrzymał się, dysząc ciężko, ścisnął rękami głowę.

- To halucynacje, nic tylko halucynacje! - warknął zdławionym, obcym głosem. - Podają ci leki. Po nich świrujesz. Musisz to zrozumieć, musisz się otrząsnąć. Nikt nikogo nie zabił. Nie pojawił się żaden duch. Duchy nie istnieją. Biedny wariat miał po prostu atak paranoi. A ty, głupku, otumaniony

narkotykami, wyobraziłeś sobie upiora. Dość tego! Myśl logicznie albo zginiesz!

Zwinął dłoń w pięść i z całej siły uderzył w najbliższy pień. Zabolało. Drzewo było ze wszech miar realne. Rozprostował palce. Otarte kostki piekły.

- Widzisz? To zwykły świat. Całkiem zwykły - powiedział swemu przerażonemu sercu.

Ale ono myślało co innego.

Oparł czoło o szorstką korę.

- Boże Święty, w co oni mnie wpakowali? - szepnął ze zgrozą.

Omamy, prowokacje, leki zaburzające świadomość. I po co? Źle to się wszystko przedstawiało. Prawdopodobnie sądzili, że wie coś bardzo istotnego. A przecież nie wiedział nawet, jak się nazywa.

Podерwał głowę, wciągnął przez zęby powietrze.

- Chryste! - jęknął. - No jasne! Pewnie wiem. Tylko nie pamiętam. To ta cholerna amnezja! Wepchnęli mnie tutaj, poddają szokowej terapii i liczą, że coś sobie przypomnę. Sprawdzili, że nie udaję. A teraz chcą, żebym odzyskał pamięć. Wszystko wreszcie zaczyna się układać. Boże, co za dureń ze mnie! Powinienem się wcześniej domyślić!

Nawet nie zauważył, że krąży nerwowo w kółko. Drzewa słuchały w ciszy, wyrozumiały i życzliwe.

- O to właśnie chodzi! - oznajmił triumfalnie spowitemu w cień krzakowi jałowca. - Próbują wyciągnąć informację, która tkwi tutaj.

Postukał się palcem między brwiami.

- Rozumiesz?

Jałowiec milczał wstrząśnięty.

Nataniel nerwowo pocierał dłonią brodę.

- Jest tylko jeden sposób. Muszę odzyskać pamięć. Sam. Zanim ich terapia zrobi mi z mózgu auszpik na zimno. I nawet domyślam się, od czego powinienem zacząć.

Krzak nie ośmielił się nawet drgnąć.

Nataniel zacisnął usta.

- Łażnia - powiedział dobitnie. - Czas stawić czoła własnej przeszłości, bracie.

* * *

Budynek term stał cichy i ciemny. Nataniel, przekroczywszy krzywy prostokąt drzwi, znalazł się w mroku gęstym niczym melasa.

Niedobrze, pomyślał. Powinienem zabrać latarnię albo choćby świeczkę. W takiej ómie nie przeczytam ani jednego wersu.

Mgła wciąż otulała „Magnolię”, teraz jeszcze gęstsza i bielsza niż wieczorem. Nataniel zawahał się. Nie miał zamiaru rezygnować. Łażnie stały dość daleko od głównych zabudowań ośrodka. Nocą nikt nie powinien tu zaglądać, a opar słłumi poblask. Ryzyko wydawało się niezbyt wielkie.

Potyając się, dobrnął do ściany, z trudem namacał włącznik. Rozległo się ciche pstryk i pod sufitem ocknęło się słabe żółte światło. Pojedyncza żarówka mrugała niechętnie spod osłony rozbitej ampli. Nataniel zmrużył powieki, osłonił oczy ramieniem. Mrugał przez chwilę, nim przyzwyczał się do mdłego blasku.

Ruszył przed siebie, niosąc światłość zaśniedziałym bojlerom i obtłuczonym umywalniom, niczym gwiazda, która upadła, niechlubny król zapyziałego Babilonu kafelków i wanien.

Im bliżej było do Pokoju Prawdy, tym większy ucisk czuł w okolicy mostka. Bał się. Bał

pobazgranych rdzawą posoką ścian i słów, które kiedyś mieszkały w jego sercu, a teraz wyrwały się na wolność, obce i groźne. Ale najbardziej lękał się, że nic się nie wydarzy. Brama w umyśle pozostanie zamknięta, a na niej zawsze już będzie straszyć wielki napis: AMNEZJA. WSTĘP WZBRONIONY.

Jeszcze kilka kroków, jeszcze jedna czy dwie sale i znajdzie się w środku swego lęku. Jeszcze próg, ebonitowy wyłącznik, kometa żarówki na kosmatym ze starości drucie i stanie się prawda.

Jeszcze...

Oparł się ciężko o framugę drzwi. Basen w podłodze mrugał ku niemu połamanymi ślepiami kafelków. Ściany zdawały się rosnąć w górę, wyciągać pokój ku niedosiężnej, bladej gwiazdzie na drucie. Ściany ze starymi zaciekami rdzy, bure od grzyba, zszarzałe od kurzu. Nagie. Martwe. Pokryte bielmem starej farby.

Ach, to tak! - pomyślał gorzko Nataniel. Nie musieli odtwarzać żadnych napisów, starać się, gromadzić danych, przygotowywać prowokacji. Parę pigułek i mój umysł wykonał za nich robotę. Przecież to o wiele prostsze, prawda?

Dotknął najbliższej ściany, rozmasował w palcach smugę brudu. Nie było żadnych wątpliwości. Tego pomieszczenia od lat nikt nie malował. Ani farbą, ani krwią.

Wsunął dłonie we włosy, przegarnął, jakby szukał jakichś szczelin w czaszce, któredy mogło się precyzyjnie szaleństwo. Ale ono znajdowało się wewnątrz, w pirackiej skrzyni, zatopione w mętym jeziorze amnezji. A kluczem do niej miały się okazać cudowne specyfiki i sztuczki szarlatana Lampeta.

Nataniel zacisnął gniewnie usta.

Niedoczekanie. Wara od mojej głowy! Precz z brudnymi łapami od wspomnień i przeszłości. Teraz nie da się manipulować. Cholera, będzie oporny, twardy i zamknięty jak kawał granitu. Wypluje te zasrane pigułki, skłamię w każdej sprawie, powpisuje ich durne kwadraty i kółka w przypadkowej kolejności, a wreszcie zwieje stąd, choćby miał rozwalić głowę temu dyrektorowi o pysku wrednego amanta albo jego przydupasowi Cyryłowi. Dostyc już tego cyrku!

Odetchnął głęboko, lecz powietrze nie przynosiło ukojenia. Gorąco wpęzło wreszcie do budynku term, napełniło pomieszczenia lawą duchoty. Nataniel spływał potem. Marzył, żeby się ochłodzić, zanurzyć głowę w wodzie, uspokoić myśli.

Woda, pomyślał nagle. Skoro pali się światło, może kanalizacja też ocalała.

Odkręcił staroświecki, mosiężny kurek. Ozwał się głęboki, głuchy odgłos, niczym beknięcie olbrzyma. Rury zaskowyczały, gdzieś w bojlerach, kolankach, zbiornikach i kranach ocknęły się starożytne duchy i podjęły potępieńczą pieśń. Mury zatrzęsły się od jęku, mosiężne szkielety od dawna martwych urządzeń wpadły w zmartwychwstałe wibracje. Kran dygotał nad umywalnią, łkając i kaszląc, cały w spazmach wskrzeszenia. Ale woda nie popłynęła.

Ozwał się tylko szklany, brzękliwy dźwięk, gdy coś uderzyło o miskę umywalki. Z rury miotanej atakami konwulsji wypadł twardy, lekko połyskujący okruch.

Cholera, pewnie zatkane, pomyślał Nataniel.

Pochylił się, sięgnął dłonią. I zaraz potem wciągnął ze świstem powietrze. W palcach trzymał ludzki ząb. Pokryty żółtkłą emalią trzon z mackami korzeni przypominał miniaturową mątwę.

- Boże! - jęknął Nataniel i z obrzydzeniem rzucił ząb z powrotem do umywalni.

Wtedy, jakby czekały na sygnał, z kranu posypały się następne. Bębniły o dno zlewu niczym wstrętne kościane krople.

Nataniel krzyknął, odskoczył odruchowo, ale potknął się na dziurze po kaflu. Upadł na kolana, uderzając wyciągniętymi dłońmi o podłogę. Poderwał się natychmiast, ledwo żywy z przerażenia.

Uciekaj uciekaj uciekaj... - walił werbel paniki w głowie.

To tylko halucynacje! - wrzeszczał zrozpaczony rozum, ale Natanielowi ciężko było go słuchać.

Zwłaszcza że w szalonym potoku zębów zaczęły się pojawiać jakieś pojedyncze kłaki, jakby ubrudzone rdzą pakuły czy kłęby wełny. Spadały na dno umywalki z mokrymi, obrzydliwymi plaśnięciami. Brunatne krople czegoś gęstego, co śmierdziało żelazie, znaczyły kafle i emalię wrzodami zacieków.

Nataniel stał bez ruchu, sparaliżowany grozą. Nie potrafił oderwać wzroku od krztuszącego się, drgającego kranu. Z tępą fascynacją gapił się na breję wypływającą z rury. Rozszerzone, nieruchome źrenice przypominały dziury po gwoździach. Nie było w nich ani śladu ludzkich uczuć. Umysł odmówił współpracy.

Breja ciekła po ściankach umywalki, pełna kłaków i białawych odłamków przypominających strzaskaną porcelanę.

Święta Panienko, ratuj mnie! - pomyślał, kiedy zrozumiał, na *co* patrzy. To włosy! Włosy i kości! Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... Zabierz ode mnie to diabelstwo! Niech zemdleję, niech umrę, niech to się skończy! Jezu, proszę! To się nie dzieje naprawdę!

- Pan mnie szukał, Natanielu - odezwał się za jego plecami spokojny, stanowczy, jakby nawykły do wydawania rozkazów głos. - Pan mnie wołał poprzez ciemność, zatrzymywał w drodze. Dlaczego?

Potępieńczy jęk kranu umilkł w jednej sekundzie, umywalka znów pokazywała światu puste, poobijane wnętrze.

Nataniel odwrócił się. Z trudem łapał oddech.

Partyzant stał po przeciwległej stronie basenu, ubrany tylko w ciemne spodnie. Jego tors pokrywała siatka blizn, jakby ktoś posklejał go najstaranniej jak umiał z potłuczonych kawałków. Przywodził na myśl zadrutowany garnek. Wąska twarz pozostawała spokojna, tylko oczy broczyły ciemnością.

- Ja... - szepnął Nataniel. - Ja...

Ale nic więcej nie mógł wykrztusić.

Na wargach tamtego pojawił się nikły uśmiech.

- Pan tak bardzo broni się przed prawdą. Nie trzeba. Ona nie zrobi panu krzywdy. Ucieczka to kiepskie rozwiązanie. Pan rozumie? Proszę już nie uciekać. To rada od przyjaciela.

Nataniel z trudem przełknął lepką, wielką jak śliwka grudę śliny.

- Nie uciekam. Jestem...

Urwał, bo zabrakło mu słów. Przemógł się i spojrzał w oczy zbiega, oczy dowódcy, które choć jasne jak woda, zdawały się czarne od sączącego się mroku.

- Pan pytał kiedyś, czy ja pana znam. Jak mogłoby być inaczej? Przecież pan jest moim bratem. Młodszym bratem. Ta sama krew, te same myśli, ten sam świat, z którego się wywodzimy, takie same wybory. Cóż to innego, jeśli nie braterstwo? A pan dalej nie rozumie, prawda?

Nataniel potrząsnął głową.

- Nie - wykrztusił. - Chciałbym...

Partyzant uniósł spękaną farfurkę dłoni. Mignęły czarne strupy paznokci.

- Nie, przyjacielu. Nie mów. Słuchaj. Ja muszę odejść. Odchodzę. Ty zawróciłeś mnie z drogi. Więc teraz słuchaj, to ważne. Czas się wypełnia. Nadeszły mgły. Musisz otworzyć umysł, musisz myśleć i czuć. Przypomnij sobie. Czy jest coś, co uporczywie odsuwasz od siebie, spychasz na dno pamięci? Czy jest jakiś trup, którego ukrywasz pod łóżkiem?

Ciemność broczyła z oczu mężczyzny jak krew, choć cała postać zdawała się jarzyć słabym blaskiem. Natanielowi wydało się, że rozmówca nie stoi na ziemi, ale unosi się kilka centymetrów

nad podłogą.

- Walizka - wyszeptał. - Czy to o nią chodzi?

Partyzant wpatrywał się w niego z napięciem, lecz na jego ustach pojawił się uśmiech ulgi. Mrok i światłość spowijały go teraz długimi pasmami, niczym owijające się wokół sylwetki bandaże. Spod powiek płynęły strugi ciemności.

- Pamiętaj o mnie - odezwał się z wysiłkiem. - Stąd można odejść! Patrz, jak odchodzę. Zrozumiałeś?

Uniósł się w górę, rozpostarł ramiona. Szczupła twarz napięła się z wysiłku, a może bólu, choć na wargach wciąż pozostawał uśmiech. Czerń lała się z oczu, ale wszystkie blizny rozjarzyły się nagle niezwykłym światłem.

- Posłuchaj - powiedziały, nie poruszywszy się, usta. - Mam imię. Ja mam. Imię. Pamiętam je. Przypomniałem sobie. Nazywali mnie Chmurny. Ale naprawdę nazywam się Piotr. I nigdy się nie zaparłem. Nigdy, aż do samego końca.

Jasność wybuchła jak flara. Ciało partyzanta rozpadało się wzdłuż blizn, niczym pęknięty dzban po brzegi wypełniony światłością. Ze środka buchały smugi blasku. Nataniel zmrużył oczy, zasłonił twarz ramieniem, a oślepiająca biel i tak wdzierала się pod powieki.

Piotr, zwany Chmurnym, unosił się pod sufitem, pochłaniany przez światło. Już nie miał twarzy czy rąk, stał się wrzecionem pulsującego żaru. A potem zniknął.

Nataniel opadł na kolana, pochylił głowę. Wstrząśnięty, nie był w stanie zapanować nad chaosem myśli i uczuć. Wiedział jedno. To nie halucynacja.

- Przyjmij go - szepnął. - Przyjmij, Panie Boże, mojego brata.

* * *

Walizka leżała przed nim, straszna na kształt ekshumowanej trumny. Nie miał pojęcia, co znajdzie wewnątrz. Prawdę, powiedział partyzant. A teraz prawda miała go wyzwolić. Albo zabić. W sumie chyba wszystko jedno.

Musnął palcami klamry zamka.

Klucz, przypomniał sobie. Przecież zgubiłem klucz.

Ale dobrze wiedział, że taki drobiazg nie ma znaczenia. Wystarczy przesunąć dźwignie i wieko odskoczy. Na pewno.

Zacisnął ręce na rogach walizki, zamknął powieki.

Teraz. Niech się wreszcie stanie. Niech wróci przeszłość.

Dłonie same odnalazły klamry. Ozwał się suchy trzask. Pokrywa się odemknęła.

Nataniel odetchnął głęboko. Słyszał swoje serce, nerwowo postukujące w klatce żeber.

Muszę, pomyślał.

I otworzył oczy.

Książki. Cienkie tomiki pełne niespokojnych, wściekłych, przepelnionych rozpaczą słów. Strony puchnące od wierszy, pękające od emocji, krzyczące wersami. Dobrze znajome, choć obce. Wydrukowane na papierze, z tytułami tłustym drukiem, zatrzaśnięte między okładkami, uwięzione między notą o autorze a słowem wstępnym znawcy. Wiersze, które były jego, choć jeszcze nie zdążył ich napisać.

Stracone na zawsze zwrotki o prawdzie, buncie i krzywdzie. O miłości, pięknie i krwi. O winie. O strasznej winie niezawinionej. O tym, jak jeden drobny błąd rozwala na kawałki całe życie. O oszustwie i smutku, i odkupieniu.

Wiwisekcja serca.

Patrzył na nie, obracając tomiki w palcach, ostrożnie i z niedowierzaniem, jakby były okruchami odległych gwiazd, gotowymi w każdej chwili rozsypać się w pył. A każda okładka, jak stemplem, naznaczona była nazwiskiem. Jego nazwiskiem.

Zmusił się, żeby na nie spojrzeć, odczytać litera po literze.

Wojciech Zwoliński.

Tak się nazywam.

Zwoliński. To ja. Moje nazwisko.

I nagle zimne jezioro amnezji rozlało się, wystrzeliło fontanną w górę, spadło deszczem, a potem wsiąkło. Wiedział już. Wiedział wszystko. Wróciły wspomnienia, słowa, myśli i czyny. Przeszłość stanęła otworem, szeroka jak brama.

Pamiętał doskonale, kim był, czego pragnął, co zrobił.

- Boże! - szepnął. - A więc to dlatego...

Ale wiedza nie przyniosła ulgi. Wszystko, co stanęło mu przed oczami, było ciężkie jak głaz. Tamta noc, skok przez okno, ucieczka, koła pociągu. Przeszłość. Prawda, która miała wyzwolić, a przywaliła go brzemieniem zimnym i ostatecznym niby nagrobna płyta.

Podniósł wzrok, bo pokój spowił naraz dziwny cień.

To mgła długimi mackami sięgnęła do środka. Wdzierała się przez okna, szpary pod drzwiami, sączyła z sufitu. W okamgnieniu wszystko zalała gęsta, mleczna biel. Zatopiła sprzęty, łóżko, walizkę. Przerażony Nataniel próbował podnieść się z kolan, ale nie mógł złapać równowagi w świetle pożartym przez mgłę. Nie dostrzegał własnego ciała, jakby nagle oślepl lub zmienił się w ducha. Krzyknął z przestachu. Jego głos zabrzmiał słabo, stłumiony przez opar.

Przewrócił się na podłogę, niewidzialnymi palcami macał szorstkie deski. Były tu, czuł wyraźnie chropawość starego drewna.

Czas Mgiel - usłyszał w głowie szept. - *Nie bój się. Otwórz umysł, poddaj się uczuciom. Walcz. Musisz walczyć, bracie.*

Łatwo powiedzieć. Z czym? Z mgłą? Nicością? Bo właśnie to otwierało się teraz przed jego przerażonymi, widmowymi oczami. Pustka nicości.

Walcz! - twardo nakazał głos. - *Wstań i walcz. Natychmiast.*

Usłuchał, bo był zbyt wystraszony, żeby oponować. Upadł kilka razy, ale w końcu zdołał utrzymać się na nogach. Kolana mu się trzęsły, wyciągnięte ręce rozpaczliwie chwytaly pustkę.

Idź. Ruszaj przed siebie. Nie bój się. Strach zabija. Idź!

To był twardy, rozkazujący ton. Zmuszał do posłuchu. Natanielowi zrobiło się mdło z przerażenia, ale przesunął nogę, szurając podszwą o deski podłogi. Zakręciło mu się w głowie. Straszny biały świat bez początku i końca, bez punktów odniesienia ogarniał go, dławil, przyprawiał o szaleństwo.

Mimo to znów poważyl się postawić krok. I jeszcze jeden. I następny. Obawiał się, że wyciągnięte rozpaczliwie ręce uderzą w jakąś przeszkodę, nogi zaplączą się w utopione we mgle krzesło czy porzuconą walizkę, ale szedł, nie napotyając żadnych barier. Właściwie bardziej pełzł, niż kroczył, dygocząc z lęku, wsłuchany w przerażone stukanie własnego serca, w oddech ze świstem wydobywający się z płuc. Próbował opanować zawroty głowy, nie patrzeć w dół, gdzie powinny być nogi, żeby nie stracić równowagi. Brnął przez biel w pustkę, nie wiedząc, dokąd mógłby dojść.

Wydawało mu się, że minęła wieczność, nim opar zaczął rzednąć. Rozpoznawał jakieś zamazane kształty, cienie szarości majaczące we wszechobecnej bieli. Wieczności płynęły jedna za drugą, zanim zdołał dostrzec tonące w mleku kolumnady pni. Był w lesie. Nie miał pojęcia, jak zdołał się tam znaleźć. Musiałby namacać drzwi, wyjść na werandę, pokonać schody, ominąć sąsiednie domki i

nie wpaść na gęsto rosnące drzewa, a nic takiego nie miało miejsca. Mgła zaczęła się rozwiewać, a on po prostu stał w lesie.

Kolana mu się trzęsły, po plecach strugami płynął pot. Popatrzył na własne dygoczące jak w ataku febry dłonie i odetchnął głęboko, z ulgą. Nawet nie przypuszczał, że tak cudownie mogą wyglądać.

Nie rozpoznawał okolicy. Sosny i zarośla wydawały mu się zupełnie obce. Na chropawej czerwonej korze wciąż wisiły pasma bladego oparu.

Czy to koniec? - zdumiał się w duchu. Już wszystko? Tylko mgła, doznanie pustki i wspomnienia gorzkie jak wymiociny?

Skurcz bólu napłynął z głębi trzewi niczym odpowiedź. Nataniel jęknął, zgiął się wpół. Za pierwszą falą napłynęły następne, powalając go na kolana, zmuszając do krzyku. Przyciskał kurczowo dłonie do brzucha, skręcając się z bólu, aż poczuł, że pod skórą coś drga i pulsuje.

Wrzód! - pomyślał nieprzytomnie. Tętniak, skręt kiszek, Boże, umieram! Znowu?

Skurcze nasilały się. Nataniel padł na bok, zwinął się z bólu. Kolana przyciskał kurczowo do piersi, ręce zaciskał na brzuchu, jakby próbował wbić je we wnętrzności i wyrwać źródło udręki. Z ust wydobywało się chrapliwe krakanie, przypominające chichot wrony. Dłonie szarpały materiał koszuli, rwały guziki.

A skóra pod mostkiem napinała się, wybrzuszała, drgając. Ślizgające się, spocone palce wymacały pod spodem spazmatyczne poruszenia.

Nataniel wrzasnął, tym razem ze zgrozy. Coś miało się w jego wnętrznościach. Coś żywego.

Płakał z przerażenia i bólu, a stwór, ożywiony tym samym lękiem, miałał się między linami jelit i balonem żołądka. Dłonie rozpaczliwie naciskały na to coś twardego i ostrego, co napierało na skórę od wewnątrz.

- Pomocy! - jęczał Nataniel, ale z posiniałych warg wydobywał się tylko chrapliwy wrzask.

A w głowie huczał wodospad szaleństwa.

Brzuch nadął się jak przepełniony bukłak. Coś wewnątrz wpadało w coraz większą panikę. Teraz szarpało i kopało wściekle, straszne jak małe tornado.

Ból nie miał już znaczenia. Nataniel wył potępieńczo ze strachu.

I nagle napięta skóra pękła. Nie było już lęku, nie było cierpienia. Wszelka udręka zniknęła. Został tylko przenikliwy smutek.

Między drżącymi, umazanymi posoką palcami pojawiła się obła, podłużna główka. Czarne oczy były wilgotne, błyszczące jak szkło. Małe, kosmate uszka przypominały dwa zwiędłe listki. Patykowate nóżki zamachały rozpaczliwie i z krwawej szczeliny w brzuchu wyłonił się cały tułów noworodka.

Mokre i drżące źrebię zsunęło się ciężko na ziemię. Było maleńkie jak zabawka i bardzo słabe. Pożłobione żebrami boki unosiły się w spazmatycznym oddechu. Małe kikuty zredukowanych jak u kurczaka skrzydełek poruszały się nerwowo. Już na pierwszy rzut oka było widać, że nigdy nie rozwiną się na tyle, by porwać zwierzę w powietrze.

Źrebię było kalekie.

Dyszało z wysiłku, próbując dźwignąć się na nogi. Kopytka rozjeżdżały się, ślizgały na mokrej ściółce. Nad suchymi listkami uszu zbierał się już rój much zwabionych zapachem potu i krwi.

Ale źrebię nie ustępowało. W rozpaczliwym akcie desperacji, z rozwartym w niemym kwiku pyskiem, poderwało się wreszcie z ziemi. Stało, dygocząc, na szeroko rozstawionych, pajęczo cienkich nogach. Wilgotne, onyksowe oczy szklily się niczym od łez.

Nataniel przygryzł wargi i spróbował odwrócić głowę, lecz zabrakło mu sił. Musiał patrzeć, jak mały, kaleki pegaz, kulejąc, odchodzi w las.

Zabierał jego niespełniony talent, jego nienapisane wiersze, zmarnowane marzenia, sprzeniewierzone idee, głupią, szczeniacką śmierć, żalosne lęki, niepotrzebne wahania. I potworną winę, niezawinioną, lecz nieprzebaczoną, nie do zmazania, nie do odpokutowania, nigdy. Zbrodnię głupoty i strachu.

A wtedy przybyły upiory. O tak, teraz dobrze je sobie przypominał.

Wszyscy przyszli, nie zabrakło nikogo. Patrzyli na niego poważnie, z wyrzutem, choć bez nienawiści, której tak się obawiał, a teraz przyjąłby z ulgą. Bo tak było jeszcze gorzej, jeszcze straszniej. Nie do zniesienia.

Zajęczał z rozpacz, zasłonił dłońmi oczy, ale oni wciąż tam byli, po drugiej stronie rzęs.

Najbliżej stał Mirek, pseudonim Skąła, drobny, trochę nieśmiały chłopak, strzelec wyborowy. Trudno go było poznać, bo zmasakrowana, opuchnięta twarz wyglądała jak czarno-sina gąbka. W lewej dłoni, przypominającej fioletową, podartą rękawicę trzymał nieodłącznego peta. Prawa zwisała luźno niczym szmata.

Obok Stefan, zwany Miśkiem. Blady jak wapno, z krwawymi smugami na policzkach i wielkimi rdzawymi plamami na wystrzępionym mundurze.

Jasiek, w oddziale Scewola, bo w powstaniu butelka z benzyną poparzyła mu rękę. Cały we krwi, z wąskim, arystokratycznym nosem rozbitym teraz na miazgę. Z ochłapami czerwonego mięcha zamiast dłoni, milczący, choć zawsze tak gadatliwy.

I Julian Zadora. Czarny. Teraz raczej siny i brunatny od krzepnącej posoki. Tak skatowany, że nie ustałby na nogach, gdyby nie był widmem. Ale wciąż z tym lekko drwiącym uśmiechem zawadiaki na rozbitych ustach.

Jego przyjaciel.

Jego brat.

Jego dowódca.

Upiór.

Nataniel czuł, jak łzy rodzą mu się pod powiekami, spływają po policzkach, żrące niby kwas. Wiedział już, kto teraz wysunie się z mgły pamięci.

Wieśka. Łączniczka. Pseudonim Słonko. Wesoła jak skowronek dziewczyna o buzi dziecka i najpiękniejszych oczach, jakie w życiu widział. Spoglądała na niego ze smutkiem, jednym ocalałym, straszliwie zapuchniętym niebieskim ślepkim, bo drugie, martwe, tkwiło w czarnym strupie oczodołu nieruchome, zamknięte okno na świat. Spróbowała się nieznacznie uśmiechnąć popękany, zakrwawionymi ustami, jakby chciała powiedzieć: „Hej, Braciszku. Nie martw się. Będzie dobrze”. Jak zawsze, kiedy był smutny.

I wtedy serce mu pękło. Rozsypało się na kawałki ostre jak szkło.

Bo taki miał pseudonim.

Brat.

Kain.

Zabójca.

Płakał. Płakał straszliwie, wstrząsany głębokimi, rozpaczliwymi spazmami, płakał jak nigdy w życiu, bo zrozumiał nagle, że niczego już nie zmieni, niczego nie wytłumaczy, nie wyjaśni. Nie dane mu będzie prosić o wybaczenie, nie otrzyma nigdy łaski wyznania win. Bo tak naprawdę ich tu nie było. Znajdowali się Bóg wie gdzie, w jakimś Raju czy Hadesie, dawno już martwi, daleko, bardzo daleko stąd. Niedosiężni. Przywołani z jego wspomnień i koszmarów mocą Czasu Mgieł. Nigdy nie spojrzeli im w oczy, nie usłyszy ich głosów. Są tylko emanacjami umysłu, zwidami pamięci, z którymi będzie musiał się mierzyć wciąż na nowo, nieustannie, gdy tylko nadciągną blade opary z lasu.

To właśnie oznaczał Czas Mgieł. Konieczność konfrontacji z najstraszniejszymi popełnionymi czynami. Z każdym spychanym w głąb umysłu wspomnieniem, zbyt okropnym, by znieść je na jawie. Wtedy wychodzili na światło dzienne wszyscy mieszkańcy cuchnącego strachem lochu podświadomości.

A przecież naprawdę ich nie zdradził. Popełnił tylko jeden błąd. Najbardziej kosztowny błąd w życiu. Straszną pomyłkę, za którą krwawo odpowiedzieli jego najbliżsi. Nie pomyślał.

* * *

Zima przyszła wtedy wcześniej. Przymrozki szroniły trawę, jeziorka pokrywała cieniutka folia lodu, choć był dopiero początek listopada. Chłód gryzł po palcach, wdzierał się pod kapotę, za wytarty materiał munduru. Nogi kostniały w dziurawych butach.

Znowu trzeba będzie przetrwać w ziemiance. W smrodzie brudnych łachów, złudnym ciepелku piecyka, który można zapalać tylko czasami, w nocy, po kryjomu, żeby bolszewiki dymu nie spostrzegli. Znienawidzony lisi smak dziczyzny, w rondlu podgniłe kartofle, zwiędła marchew ukradzona na jakimś polu. Czasem dobrzy, zaufani ludzie coś przyniosą. Chleb, albo chociaż podpłomyk, maleńki skrawek słoniny. U nich też biednie. Wiadomo. Wojna trwa. Wojna się nie skończyła.

Dla wszystkich, stłoczonych pod ziemnym kopcem niczym borsuki w jamie, to pewne i jasne. Ale dla niego już nie.

Przecież tam, na zgliszczach, ktoś znów stawia domy. Można zacząć żyć, żyć normalnie. Tyle jest do zrobienia. Tyle pracy czeka. A oni siedzą wciąż w lesie, strzelają do kolejnych wrogów. Dość, Boże kochany! Jak bardzo ma już tego dość!

Wszędzie słyhać, żeby się ujawniać. Że kraj wreszcie wolny, że wszyscy tu są Polakami! Że przyjmą ich z otwartymi ramionami, towarzyszy broni, którzy walczyli ramię w ramię z hitlerowcami, tylko na różnych frontach. Co to ma za znaczenie, kto przyszedł ze wschodu, kto z zachodu, kto trafił do AK, a kto do AL? Teraz ojczyznę trzeba budować, nie skazywać na kolejną, bratobójczą walkę.

I w łóżku by się można wyspać. Ubranie uprać, wykąpać się. Jedzenie gotować na kuchni. W piecu palić. Wieczorem spokojnie zamknąć oczy, nie nasłuchiwać każdego szelestu, wart nie rozstawiać. Normalnie. Jak wszyscy ludzie. Przecież Gwiazdka blisko. Prawdziwe Boże Narodzenie, z choinką, Wigilią, kolędami i pasterką. Jezus Maria, nie znieś już ani jednej Gwiazdki więcej w tej znienawidzonej norze. Nie ma mowy.

Tyle że Czarny nie odpuści. Nigdy. Aż wszyscy poginą. Albo zwyciężą. Dla Julka tak właśnie wyglądał świat. Czerń i biel. Bracia i wrogowie. Honor i zdrada. Typowe dziecko Dwudziestolecia.

Dlatego zostawało tylko jedno rozwiązanie. Ucieczka. Złe rozwiązanie, paskudne. Podłe chyba. Ale jedyne.

Odszedł w pierwszy biały, srebrzysty świt, kiedy śnieg pokrył ziemię drobno ciętym konfetti. Zostawił broń, wszystkie pamiątki, papiery, cokolwiek, co mogłoby naprowadzić na ślad oddziału. I pomaszerował jak ostatni głupiec do pobliskiego miasteczka, na posterunek. Zdawało mu się z początku, że we wszystko wierzą. Powiedział przecież, jakże sprytnie, jak mu się wtedy wydawało, że już od miesięcy krąży sam po lasach, że z jego oddziału nikt nie ocalał, że się dawno zagubił, że z nikim nie ma łączności. Kretyn! Nieszczęsny kretyn!

Powinien po kryjomu wskoczyć w jakiś ocalały pociąg, przedrzeć się gdzieś daleko, do innego miasta, wiele kilometrów stąd, powinien... Boże, tak naprawdę powinien zostać. Zobaczył to jasno, bardzo jasno już po kilku dniach.

Ale trzymał się. Nie sypnął. Dumny jak perski Kserkses ze swej niezłomnej postawy. Skąd mógł wiedzieć, że przeczesywali już okoliczny las, że groźbą i przekupstwem skłaniali ludzi z pobliskich wiosek do zdrady? Że gdy on tak heroicznie milczał, zgarnęli wszystkich jego przyjaciół z wyjątkiem Miśka, który miał szczęście zginąć na miejscu?

I to była właśnie cała jego wina. Cała straszna zbrodnia. Uwierzył, że może żyć wolny w nowej, wolnej Polsce.

Ale dla wszystkich stał się podlejszy niż Judasz. Dla ocalałych krewnych, sióstr, młodszych braci swoich dawnych przyjaciół. Dla nich samych pewnie, bo zginęli w przekonaniu, że ich zdradził. I dla Antoniny Radwańskiej, matki Wiesi.

Zadrżał na samo wspomnienie.

Nie poznał jej, kiedy stanęła pod jego domem. Jak mógł rozpoznać w starej, zniszczonej kobiecie tę elegancką, wykształconą damę, którą odwiedzał tak często w domu przy Miodowej? Kiedy razem z Julkiem, Jaśkiem i pozostałymi chłopakami z liceum przychodził smalić cholewki do Krysi, starszej siostry Słoneczka, która zginęła potem w powstaniu? Wieśka była wtedy podlotkiem o pucołowatej buzi i chyba nie do końca jeszcze wyrosła z zabawy lalkami.

Boże, jak to dawno było.

Omam nie umarł, kiedy zrozumiał, kto stoi na ulicy pod jego drzwiami. Nie powiedziała nic. Czekwała, milcząca, surowa, straszna. Chciał coś tłumaczyć chyba, bełkotać przeprosiny, usprawiedliwienia, chociaż głos utkwiał nagle w gardle jak wbity gwóźdź. Trząsł się z przerażenia, ze wstydu. Żałosny. Tylko żałosny.

Nie odezwała się. Splunęła mu pod nogi, odwróciła się i odeszła. Granitowa, przedwojenna Niobe.

Nigdy więcej jej nie zobaczył.

W modlitwach, kiedy jeszcze mógł się modlić, błagał, żeby kiedyś zapomnieć wyraz jej oczu. Teraz znów musiał się z nim zmierzyć. Po drugiej stronie kosmosu. W Czasie Mgieł.

Wiedział już, gdzie się znajduje. Ale nie miał łez, żeby to opłakać.

Zamknął oczy.

Nie być, pomyślał tęsknie. Jakie to kuszące.

Wierzchołki drzew kołysały się wysoko na tle różowiejącego świtem nieba. Leżał, przyglądając się zorzy poranka, zbyt zmęczony, zbyt złamany, by rozpaczać.

* * *

Kiedy się ocknął, stwierdził, że leży na ziemi w pobliżu połamanego ogrodzenia „Magnolii”. Nie czuł najmniejszego bólu, tylko lekkie zawroty głowy i zmęczenie. Ostrożnie podwinął zmiętą, wilgotną koszulę. Skóra na brzuchu była nietknięta, zupełnie gładka, bez śladu blizny czy choćby zadrapania.

Usiadł z wysiłkiem. Splunął gorzką, palącą śliną. Chwilę trwało, zanim dźwignął się na nogi i powlókł w stronę zabudowań kliniki.

W sumie nie zostawało nic innego, co mógłby zrobić.

* * *

Lampet stał na ganku, oparty o kolumnę. Oczy miał smutne i czujne.

- Widzę, że kuracja postępuje, panie Zwoliński - odezwał się bez cienia drwiny.

Nataniel pokiwał ciężko głową.

- Wróciła mi pamięć - szepnął. - Tylko że nie wiem już, czy to dobrze, czy źle.

Lekarz schodził wolno ze schodów, nie spuszczać z pacjenta ciemnych, uważnych źrenic.

- Każdy krok ku prawdzie jest dobry. Nawet prawdzie trudnej do zniesienia.

Nataniel zaśmiał się z goryczą.

- Codziennie człowiek może się dowiedzieć czegoś nowego. O sobie.

Dyrektor kliniki zatrzymał się tuż przed nim, sięgnął do kieszeni po brązową jak suchy patyk cygaretkę.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałem, że nie jest pan swoim własnym wrogiem. Podtrzymuję diagnozę. To poczucie winy, prawda? Straszliwy balast. Liczę, że wspólnie postaramy się zmniejszyć jego ciężar.

- Tutaj? - Nataniel szerokim gestem objął zabudowania „Magnolii”. - Trudno mi w to uwierzyć. Przecież to wy powinniście być tymi złymi, prawda?

Lampet westchnął.

- Widzę, że niczego pan się nie nauczył. My naprawdę jesteśmy tutaj po to, żeby wam pomóc. Tylko po to. To nasze jedyne zadanie.

Nataniel spojrział głęboko w studzienne oczy rozmówcy.

- Doktorze - powiedział wolno - pan nie jest żadnym lekarzem. Nie jest pan nawet szarlatanem. Pan jest diabłem.

Lampet uśmiechnął się krzywo.

- No cóż, tak. Jestem diabłem. Poniekąd. Co w niczym nie zmienia postaci rzeczy. Pan tu jest na terapii, panie Zwoliński. Robimy, co w naszej mocy, żeby pana wyleczyć. Stąd można odejść, sam pan widział, prawda? Pan ma teraz pamięć, imię, świadomość straty. To ogromny postęp. Nie wszystkim jest dany, zapewniam.

- Regina?

Doktor skinął głową.

- Na przykład.

Nataniel przygryzł nerwowo wargę.

- Boże, nigdy bym nie przypuszczał. Tamtej nocy, kiedy uciekałem, pijany, zaszczuty... Jakbym nie był sobą. Nie sądziłem, że się zdobędę, że zechcę... Zawsze uważałem, że samobójstwo to ostateczne tchórzostwo. To po prostu dziwne. Koła pociągu... Wciąż je widzę. Dlaczego tak bardzo się pomyliłem? Dlaczego myliłem się przez cały czas, we wszystkim?

Szczupła dłoń Lampeta zacisnęła się na ramieniu pacjenta.

- Żąda pan ode mnie za trudnych odpowiedzi. Ja mogę tylko wskazać panu drogę. Musi pan wyzbyć się lęku. Wyzbyć wstydu, który jest fałszywy. Otworzyć, oczyścić, spojrzeć w oczy prawdzie o sobie. Już zrobił pan ogromny krok w dobrą stronę. Nie ma się czego bać. Pamięta pan? Chmurny mówił prawdę. Strach zabija. Człowiek zakuty we własny lęk nie stawia czoła swojej własnej duszy, nie zniesie mroku, który w niej panuje. Ale też nie ujrzy tam światła. Ktoś tak zamknięty, zaciekły w lęku jak Supeł czy Regina zamyka przed sobą drogę. Walczymy o nich od lat, ale to takie trudne przypadki...

- Mówi pan jak rasowy lekarz.

- Jestem lekarzem. Cieszy mnie, kiedy widzę efekty kuracji.

- To o mnie?

Lampet spoważniał.

- W szczególności. Trochę pan u nas namieszał. Ma pan siłę, ciekawość i chęć nawiązywania

więzi. Interesują pana inni, nie tylko własny pępek. To tutaj zaskakujące cechy.

- Inni? Chyba niespecjalnie.

- Nie? Chciał pan pomóc Supłowi, Albertowi, Letycji... - zawiesił głos.

Nie, o Letycji Nataniel nie miał ochoty rozmawiać.

- To po prostu ludzkie - skwitował.

- Ludzkie? Zabawne słowo w naszym ośrodku.

- Więc piekło to po prostu klinika? Lecznica dla wariatów z chorą duszą? Tylko tyle?

- Jak pan widzi.

- A gdzie kotły z wrzącą smołą i cała malownicza reszta?

Lekarz westchnął.

- To pacjenci zapewniają sobie sami.

- Każdy człowiek trafi po śmierci w takie miejsce?

- Nie wiem. Niech pan nie pyta. Pewnie są tacy, których nie trzeba leczyć. Którzy przeszli przez życie wystarczająco silni i zdrowi, żeby przenieść się na drugą stronę bez niezbędnej kuracji.

- Pan nie wie - powtórzył Nataniel. - Nie wie nic o dobrych, uczciwych ludziach. No tak. To zrozumiałe. A ci źli? Ci naprawdę źli? Potwory? Przecież mieliśmy z nimi do czynienia, widzieliśmy na własne oczy, do jakich podłości jest w stanie posunąć się człowiek. Wszyscy to ujrzeliśmy, na wojnie. Co z esesmanami, komendantami obozów, gestapowcami, samym Hitlerem wreszcie? Zbrodniarzami bolszewickimi? Ubekami? Co z nim, batuszką, z tym tyranem z piekła... Co z nim będzie, kiedy już wreszcie przestanie oddychać, doktorze?

- Ze Stalinem, pyta pan?

Nataniel waha się przez moment.

- Tak. Na przykład z nim. Też znajdzie się w pięknym sanatorium pośrodku lasu, gdzie cały troskliwy personel będzie się dwoił i troił, żeby wyleczyć biedaka? Żeby wskazać mu drogę do światła?

Lampet uśmiechnął się słabo, ze smutkiem.

- Gorycz przez pana przemawia. Gorycz i nienawiść. Straszne uczucia. Destruktywne. Ale dobrze, powiem panu. Tak w ramach terapii, na pocieszenie. Mamy też inne ośrodki. Zamknięte. Specjalne. Dla dużo poważniejszych przypadków. Lecz i tam robimy, co w naszej mocy, żeby wyleczyć pacjentów lub choćby pomóc im w miarę możliwości. Bo niektórzy nie rokują zbyt wiele nadziei. Rozumie pan? Dla nas to bardzo frustrujące. Bardzo.

Nataniel odwrócił na chwilę wzrok, popatrzył na las, wprost w białe od żaru niebo. Jego palce zacisnęły się nerwowo.

- Powiedział pan „więzi”. Czy to znaczy, że jakieś uczucia, nie wiem, przyjaźń, może coś więcej, byłyby pomocne w...

- Mam panu wskazywać drogę - przerwał zdecydowanie dyrektor kliniki. - Nie kopniakiem wysyłać w podróż. To przekracza moje kompetencje.

Nataniel w zamyśleniu pocierał podbródek. Zawahał się, ale jednak odważył zadać pytanie:

- Jak tam jest, doktorze? Co mnie czeka tam dalej?

Dyrektor kliniki pokręcił tylko głową. Twarz miał skupioną i smutną, choć starał się przywołać na usta uśmiech.

- Pewnie mi pan nie uwierzy, ale nie wiem. Nie udzielono mi żadnych wskazówek, przyjacielu.

Pacjent wzruszył ramionami.

- Mama mi powtarzała, że diabeł jest księciem kłamstwa.

Lampet wysupłał z kieszeni zapalniczkę, zaciągnął się cygaretką.

- I tego świata. Tylko tego świata, panie Zwoliński.

Nataniel odwzajemnił uśmiech.

- Chciałem pana przeprosić, doktorze. Źle pana oceniłem. Przykro mi.

Wyciągnął dłoń.

Brwi Lampeta uniosły się w niemym zdumieniu.

- Pan mnie przeprasza? - powtórzył po chwili. - Wroga rodzaju ludzkiego?

- Lepiej być diabłem niż ubekiem, prawda?

Dyrektor kliniki roześmiał się i mocno uściśnął dłoń pacjenta.

- Nie przestaje mnie pan zadziwiać, panie Zwoliński - rzekł z nutą szczerości w głębokim głosie filmowego amanta.

* * *

Zobaczył Letycję, kiedy przełaziła przez ogrodzenie, a potem długimi krokami przemierzała ścieżkę wiodącą do jej domku, obciążając z wściekłością sukienkę. Twarz miała bladą, oczy spuchnięte od płaczu.

- Letycjo! - zawołał z daleka, ale tylko przyspieszyła kroku. - Poczekaj!

Dogonił ją zdyszany, lecz odwracała głowę, milcząc uparcie. Ze złością strząsnęła dłoń, którą próbował położyć jej na ramieniu.

- Letycjo, daj spokój! Ja wiem.

Wtedy zatrzymała się jak wryta, zwróciła na niego oczy gniewne niby burza.

- No to co, że wiesz?! Taki jesteś niby mądry?! Stanałeś twarzą w twarz z własnymi koszmarami i dalej żyjesz! Też mi sukces! A wiesz także, że to się będzie powtarzać, nieustannie, w nieskończoność, kiedy tylko nadejdą mgły?! Rozumiesz, jak to jest żyć nieustannie w strachu? Wciąż i wciąż przeżywać to samo, aż się wypalą gwiazdy?! Nie znać dnia ani godziny, czekać i czekać, wypatrywać znaków, popadać w obłąd, bo w lesie ci się zwidział obłoczek mgły?! Raz to przeżył i patrzcie jaki szczęśliwy! Zobaczymy, co powiesz, jak minie wieczność! I następna, i jeszcze kolejna! Stąd nie można uciec! Nie da się tu nawet umrzeć! Przecież tu właśnie jest śmierć! Myślisz, że nie próbowałam? Że wszyscy nie próbowali? Nic z tego! Obudzisz się we własnym łóżku, kretynie! I znów będziesz się trząsł ze strachu, bo Czasu Mgieł nic nie zatrzyma! To piekło jest, idioto! Piekło! Wieczne potępienie! I lepiej zdaj sobie z tego sprawę! - wrzasnęła. - A teraz się wynoś! Idź precz! Zostaw mnie! Chcę być sama! Potrząsnął stanowczo głową.

- Nie powinnaś być sama. Nie zamykaj się. Partyzant powiedział, żeby otworzyć umysł, uczucia...

- Jaki partyzant?! - fuknęła. - Oszalałeś? To nie moment na jakieś głupie gadanie! Muszę zostać sama!

- Nie! - Chwycił białą dłoń dziewczyny. - W ten sposób niczego nie osiągniesz! Żeby stąd odejść, musisz przestać się bać. Strach zabija. Musisz się czegoś nauczyć, dowiedzieć. Wybaczycie światu, sobie, innym. To terapia, rozumiesz? Oni nas leczą! Potem możemy pójść dalej. To też mi powiedział...

- Nie obchodzą mnie jakieś twoje fantazje! Wynoś się, bo zacznę krzyczeć!

Uśmiechnął się krzywo.

- Już krzyczysz. Naprawdę nie pamiętasz mężczyzny z bliznami? Widziałem, jak odchodził. W nocy, przed nadejściem mgieł, w łaźni. To miejsce można opuścić. Przejść dalej, do światła. Tam, gdzie czeka na nas ktoś dobry, mądry. Ale nie damy rady tam trafić, jeśli będziemy chorzy. Na nienawiść, na rozpacz, na żal, na gorycz, na zemstę. Rozumiesz? Wyszarpnęła dłoń.

- Wariat! Stąd się nie odchodzi! To piekło, wieczność! Daj mi spokój, przestań mnie prześladować! Nienawidzę cię, wynoś się! Jesteś potworem! Jesteś wstrętny! Nie chcę cię znać!

Odwróciła się i uciekła. Stał, słuchając jej zdławionego szlochu.

- No - mruknął. - To przynajmniej jakieś uczucia.

Słońce stało wysoko na odrętwiałym z upału niebie. Wojciech Zwoliński zadarł głowę, spojrzał prosto w rozżarzoną blaskiem kulę.

Jasność, pomyślał. Droga ku światłu. Wygląda na to, że aby opuścić „Magnolię”, znowu będę zmuszony umrzeć.

Było coś niepokojąco ironicznego w fakcie, że śmierć wcale nie okazała się rzeczą ostateczną.

- Diabli wiedzą co nas tam czeka, Letycjo - powiedział półgłosem, zamyślony.

A potem uśmiechnął się z goryczą. Bo zrozumiał, że czasem nawet diabeł nie może przekroczyć swoich kompetencji.

Upiór Południa

Epilog

To było piękne miasto - mówię. - Marmurowy odprysk rzymskiej potęgi dzielnie trwający na skraju pustyni. Akwedukt, który tam widać, miał ponad sto trzydzieści kilometrów. Imponujące, co? Kamienna pępowina pozwalająca żyć tutejszym ludziom i zwierzętom. Prosperować, powiedziałbym nawet. Nieźle im się tu mieszało. Trzeba było kilku setek lat, żeby znów osiągnąć ten poziom wygody.

Odpoczywamy w cieniu ulicznego portyku. Wiatr jest pełen drobin piasku, pełen potężnej siły. Przymykam oczy i pozwalam pamięci przywołać obraz turkoczających po bruku kół, gwarne upału dnia targowego, strawy pichcanej w glinianych garnkach, dawno zapomnianego zapachu antyku.

Hamsin nadciąga. Krąży w moich żyłach, gotuje krew, napełnia głowę rozkosznym, szalonym szampanem adrenaliny. Muszę zaciskać szczęki, żeby nie zacząć krzyczeć. Mówiłem, że złe miejsce wybraliście sobie na ten wypad, gnojki. Cholernie złe miejsce.

Opanowuję się jednak, pokazuję im szczerą, sympatyczną twarz stukniętego amatora historii. W sumie nic do nich nie mam. Ot, para nierozgarniętych dzieciaków. Mój czas nie nadszedł. Hamsin jeszcze nie wieje. Opowieści jeszcze nie wybuchają w słodkim, szalonym powietrzu gorejącym wiatrem, pachnącym śmiercią. W moim sercu pełnym radości. W rękach parujących od krwi.

- Rzym - mówię. - Był jak wyspa na morzu barbarzyństwa. Ostatnia w pełni rozwinięta, najpełniejsza kultura antyku. Z jakim cholernym łoskotem runął! Zostawił po sobie mnóstwo niezwykłych opowieści.

Widzę, że Panna Znaj Swoją Wartość nie rozumie ani jednego pieprzonego słowa. Sięga do swojego kurzego podmóżdżku i grzebie tam z widocznym wysiłkiem, przeglądając podręczny katalog sloganów wyświetlony na hasło „Roma”. Mam ochotę parsknąć śmiechem, naprawdę. Jej mała, skundlona osobowość jest tak żałośnie niepotrzebna. Gdyby w tej chwili wyparowała w atomowym skwarze, nikt by nie zauważył, że jej zabrakło.

- Imperium rzymskie niewoliło kobiety, wpychając je w gorset tradycyjnej matrony i odbierając prawa wyborcze oraz majątkowe - prycha.

Na jedno krótkie uderzenie wiatru pozwalam, żeby hamsin zaszumił w mojej głowie.

- Siostró, najdalej za pół godziny przestaniesz żyć, a pieprzysz mi jakieś pierdoły o zniewoleniu kobiet dwa tysiące lat temu?

Ale mój dar, mój perfekcyjny kamuflaż, działa. Nie dociera do niej, co naprawdę powiedziałem.

- Co? Co? - Mruga oczami zaskoczona.

- Za czasów antyku nie znano gorsetów - rzucam jakby nigdy nic.

Patrzy na mnie urażonym wzrokiem.

- Chodziło o symboliczny gorset patriarchy - wyjaśnia nadętym tonem.

- Tak to już jest z tym patriachatem. - Kiwam głową. - Niby takie wzniosłe idee, a wszystko i tak sprowadza się do kontroli nad damskim tyłkiem i cymbalami.

Patrzy na mnie niepewnie, nie wiedząc, czy aby nie kpię. Posyłam jej kolejny szeroki wyszczerz krokodyla, więc się odpręża.

- No tak. Mężczyźni zawsze wymyślali gorsety, żeby przytępić inteligencję i wrodzoną wrażliwość kobiet - oznajmia triumfalnie.

Tak byśmy sobie gawędzili o bieliźnie, gdyby nie młody, który przeczuwa, czym to pachnie.

Szybko i rozpaczliwie stara się zmienić temat.

- Pan jest podróżnikiem? Też pan fotografuje? - Wlepia we mnie pływające za pinglami oczy, okrągłe, puste jak dwie drobne monety w butelce z wodą.

A widzisz, żebym miał aparat, baranie?

Uśmiecham się jednak szeroko, prezentując zęby aż do trzonowców. Na początku zawsze robię dobre wrażenie. Dziś również. Ich też ciekawię. Fascynuję wyglądem, ubraniem, zachowaniem. Lubią mnie na swój sposób. I, oczywiście, współczują. Bo ich zdaniem z pewnością nie mam równo pod kapeluszem. A wariatów nie wolno odtrącać. Tak powiada surowa pani polityczna poprawność. Sądzą, że jestem jakimś archeologiem, poszukiwaczem przygód lub podobnie intrygującym frikiem. I myślą się, biedne dupki. Jestem frikiem zupełnie innego rodzaju.

Młody gapi się na mnie z niemym zachwytem. Oto prawdziwy Indiana Jones, Ali Baba i Biały Myśliwy Czarne Serce, słyszę jego myśli kotłujące się pod przepoconą bejsbolówką. W dodatku w realu. Ale jazda! Będzie co opowiadać po powrocie. Ubrana w parodię kapelusza i groteskowe gacie Królowa Wszechświata też zerka na mnie już bez pogardliwej niechęci, którą codziennie maluje sobie na twarzy zamiast patriarchalnie nacechowanego makijażu. W końcu jest na wakacjach. A w podręcznikach nowoczesnego stylu życia piszą, że nie ma *to* jak podróżować i poznawać nowych ludzi. Choćby i dziwaków.

Dobrze, siostró. Nie daj się truciźnie cywilizacyjnych uprzedzeń. Przyznaj, że poszukiwacze skarbów, archeolodzy i znawcy starożytności też mają prawo istnieć, nawet jeśli ty tego nie rozumiesz. Okaż swoje oświecone miłosierdzie. Spróbuj się do mnie uśmiechnąć. No już. To nie będzie za bardzo bolało.

- Jestem kolekcjonerem - mówię krótko.

Dzieciak przygryza wargę. Uppps! Cholera! Czyżbym przyjechał do tych zapomnianych przez diabła ruin zwędzić to i owo z bogatej kolekcji steli i posągów porzuconych na łaskę słońca i wiatru? Niezręcznie wyszło. Mały patrzy na mnie żałośnie niczym szczeniak, który właśnie popuścił na dywan.

Nie szkodzi, nie szkodzi, wciąż się krokodylo wyszczerzam. Będzie dobrze, synu. Pozwolę, żebyś jeszcze sekundę wstrzymywał oddech i kazał uderzać szybciej skonfundowanemu serduszkowi, a potem wszystko sprowadzę na płaszczyznę przyjacielskiej pogawędki.

- Och! - Zaczynam się śmiać, jakby dopiero teraz dotarło do mnie, dlaczego się zaczerwienił. - Nie! To nie tak, jak pan myśli! Nie przyjechałem tu rabować grobów! Skądże znowu! Ja nie kolekcjonuję antyków. Zbieram opowieści.

- Opowieści? - nie byłby bardziej zaskoczony, gdybym oznajmił, że słoniowe guano.

- Pan jest pewnie etnologiem. - Jego laska rzuca mu pogardliwe spojrzenie. - Zapisuje wierzenia nomadów i innych koczowniczych grup społecznych. Prawda?

„Koczownicze grupy społeczne” przyprowadzają mnie o radosne skurcze przepony. Jednak trzymam się dzielnie. Kamuflaż nie powinien rozwiać się za szybko. Umiar jest wskazany we wszystkim.

- Nie trafiła pani, choć była blisko - zaprzeczam uprzejmie. - Tak naprawdę zbieram kamienie. Ale każdy kamień to osobna opowieść. Zawsze tak się działo, od początku świata. Tylko ludzie nie potrafią tego dostrzec. Depczemy po kamieniach pozostałych po naszych przodkach. Po ich historiach. Tak jak w tym mieście. Tu każda ściana ma do opowiedzenia jakąś poruszającą historię. Ale ja zbieram tylko niezwykle. Te naprawdę dobre.

Patrzę po sobie z niepokojem. No, teraz nieźle pojechałem, co? Mają mnie za kompletnego frika. I już troszeczkę się zaczynają bać. Jak kury, które dostrzegły na niebie niewyraźny cień. Jeszcze nie są pewne, czy to jastrząb, czy latawiec, ale już gotowe do ewakuacji. No i jak się ma teraz twoja

tolerancja dla wszelkich odmienności, siostrzo?

Wyciągam zza pazuchy piersiówkę i pociągam łyk. Potem kieruję flaszkę w stronę chłopaka.

- Whisky - mówię. - Chcesz? Świetnie rozgrzewa.

Pot kropli mu się na czole, zbiera na czubku płaskiego nosa. Między spokojnym żarem antycznych kamieni jest grubo ponad czterdzieści stopni. Obrzuca zdumionym wzrokiem moje ubranie, kapelusz, kowbojski skórzany płaszcz, długie buty, jakby dopiero teraz je dostrzegł. Nic dziwnego. Po prostu powoli zdejmuję kamuflaż miłego, nieszkodliwego gościa.

Nie powiem, lubię to robić. Taki mentalny striptiz. Miły moment w mojej pracy.

- Nie, dzięki. Prowadzę - mamrocze niepewnie, wskazując zaparkowany na szosie samochód z logo wypożyczalni na nieco zdezelowanym boku.

- A pani? - Usłużnie podsuwam piersiówkę.

- Dziękuję. Nie pijam alkoholu. To szkodzi.

Życie szkodzi, siostrzo. W sumie, jak by nie patrzeć, zawsze okazuje się śmiertelne, chcę powiedzieć, ale milczę.

Dziewczyna podnosi się, otrzepuje workowate portki.

- Pójdziemy już. Obejrzeliliśmy wszystko, co było ciekawe. Lepiej wrócić do hotelu przed nocą. To jednak kawał drogi.

- Znowu się mylisz - mówię. - Nigdzie nie pojedziecie.

Teraz młody podrywa się na nogi z wystraszoną wyrazem twarzy, który ma chyba wyglądać na stanowczy.

- Jak to? Co to ma znaczyć? Co za głupstwa pan opowiada?

- Każda historia ma początek i koniec. - Rozkładam ręce przeproszającym gestem. - A wasza kończy się tutaj.

Chłopak czerwienieje, zaczyna zabawnie się jękać. Śmiesznie wyglądają razem, bo dziewczyna dla odmiany robi się biała jak marmur.

- Co... do diabła?! Myślisz... Chcesz... nas skrzywdzić?

Śmieję się tak szczerze, że opadają im szczęki.

- Nie, do cholery! Rany, co za pomysł. Dzieciaki! Co też wam przyszło do głowy? Ja? Skrzywdzić? Wariactwo! Jestem tylko kolekcjonerem rzadkich kamieni. To znaczy osobliwych opowieści. Każdy kamień z moich zbiorów to jakaś niezwykła historia. Rozumiecie?

Uśmiechają się nerwowo, przestępują z nogi na nogę. Widać nigdy nie mieli do czynienia z takim posrańcem jak ja. Grunt to poznawać nowych ludzi, co?

- Oczywiście, na pewno. To bardzo ciekawe. - Dziewczyna wykrzywia twarz w grymasie miłego uśmiechu. *Źle jej to idzie*, bo zwykle bywa skwaszona jak przestałe palmowe wino. - Miło się rozmawiało. Do widzenia.

Też się podnoszę. Staję w pełnym słońcu i czekam. W powietrzu krąży zapowiedź wiatru. Sirocco. Hamsinu. Wdycham jego siłę i znów się uśmiecham. Ale nie jak miły frik. O nie.

Bojownicza o prawa starożytnych Rzymianek zachłystuje się oddechem, podrywa ręce do ust, dławiąc okrzyk. Oczy ma okrągłe, rozwarte niczym gazela duszona przez lwa. Ona już wie. Już zauważyła.

Że ja nie rzucam cienia.

Nie rzucam cienia.

- Przypominacie sobie taki moment - mówię spokojnie - tę okropną chwilę, gdy coś nieodwracalnego właśnie zaszło, przed ułamkiem sekundy, przed niezauważalną chwilą? Właśnie to do was dociera, właśnie się przekonujecie, że to teraz, to już, się stało. Ale wy jeszcze nie potraficie

uwierzyć, że moment, chwilka, nagła, spontaniczna decyzja, która do tego doprowadziła, jest, niestety, nie do cofnięcia. Gdzieś w duszy tli się nadzieja, że przecież czas jeszcze można odwrócić, zmienić. Bo to przecież tylko sekunda, ułamki sekundy. Że tak mały ułamek czasu nie może decydować o niczym losie. Ale tak, właśnie że tak. Decyduje. Ulubiona farfurka babci leży już rozbita w drobny mak. Osa teraz, przed niezauważalnym momentem, użądliła twego ukochanego brata, który ma uczulenie i właśnie zaczyna się dusić. Łyk kwasu pali już usta i wnętrzości twojego dziecka. Samolot z tobą na pokładzie leci w dół jak ustrzelona kaczka. Tu i teraz. Za późno na działanie. Za późno na żal. Nic, co się stało, nie może się odstać. Prosta zasada.

Chłopak cały się trzęsie. Na białej jak papier twarzy ma purpurowe kleksy wypieków. Wyciąga w moją stronę oskarżycielski palec.

- Jesteś zarażony, tak? Chory na jakieś afrykańskie świństwo? Dlatego masz na sobie te wszystkie ciuchy i wcale się nie pocisz! A teraz zakaziłeś też nas, ty skurwielu! Zakaziłeś i myślisz, że umrzemy sobie dla twojej satysfakcji, cholerny pojebany sukinsynu! Tak?! Tak?!

No, bystry to on nie jest, siostrze, kręcę z politowaniem głową.

Dziewczyna szarpie go za rękaw, w oczach ma tylko strach.

- Widzisz, młody - mówię tonem szczerzej pogawędki. - Wszystko przez to, że nie czytasz uważnie tych swoich durnych przewodników. Pewnie napisali, że w ruinach takich jak te chętnie pomieszkują nomadzi. W dzień właściwie ich nie widać. Chowają się przed ludzkim okiem lepiej niż koboldy. Ale zawsze daje się zauważyć jakiś ślad ich obecności. Cień na ścianie. Daleki płacz dziecka. Samotny osioł krążący wśród zwałonych kolumn. Skorupa całkiem współczesnego garnka. A tu nic. Cisza. Samotnie i pusto. To powinno skłaniać do zastanowienia, nie?

- O czym... o czym ty...? - bełkocze z przerażeniem.

- O nomadach - wyjaśniam uprzejmie. - A raczej ich dziwnej nieobecności. A może nie takiej znów niezwyklej, jak się lepiej przyjrzeć. Odludne, lecz charakterystyczne miejsca, gdzie można znaleźć wiele spokojnych kryjówek i nieco miłego cienia. Kogo może kusić, co? Tylko koczowników? Purpurowieje cały jak indyk.

- Terrorystów - skrzeczy słabo. - O Boże, Jesteś...

- Nie - tłumaczę cierpliwie. - Mówiłem już. Kolekcjonerem. Ale tak, masz rację. Bywają tu terroryści. I zwykli bandyci. Przemysłowcy narkotyków. Handlarze bronią. Żywym towarem. Tylko wybierać. Los chciał, że tym razem mamy do czynienia z narkotykami. Bywa.

Wzruszam ramionami.

- Spójrz tam. - Wskazuję ręką. - Widzisz? Parkują samochody. Wsiadają kołesie z automatami i bronią krótką. Po tamtej stronie nekropolii. Między punickimi grobowcami. Unikalnymi skądinąd. Ale to raczej nie jest zbiorowa wycieczka krajoznawcza, nie?

Blade oczy za okularami chłopaka miotają się jak otrute ryby w ciasnym akwarium.

- Nic nie powiemy! Przysięgam! Błagam! Będziemy milczeć jak grób.

- A w to to akurat uwierzę - uśmiecham się. - Ale mnie nie masz co przekonywać. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Cień! - piszczy tymczasem laska. - Cień! On nie ma... I oczy! O Jezu! Patrz!

Pochylam się ku niej.

- Co, że całe czarne, bez tęczy i białek? No i co z tego? To źle? Przecież uczyli cię, siostrze, żeby nikogo nie oceniać, co? Nie wolno wartościować, rybko. Nie ma dobra ani zła i takie tam. Nie pamiętasz?

- Kim jesteś? Kim naprawdę...

- Zbieraczem historii - przerywam ostro. - Ile razy mam powtarzać?

- Czego chcesz? - głos chłopaka łamie się jak przy mutacji.

Pokazuje w uśmiechu zęby.

- Pomóc. Odwrócić to, co nieodwracalne. Waszą śmierć, która nastąpi - zerkam na zegarek - za jakieś piętnaście minut, najdalej. Bo chłopcy już tu są. Zauważyli wasz samochód. I, obawiam się, nie pozwolą wam odjechać.

Dzieciak ściska swoją cyfrówkę, jakby to była jakaś cholerna królicza łapka.

- I co za to chcesz? Nasze dusze?

No nie, teraz to przegiął.

- Na diabła mi wasze pieprzone dusze? Nic nie chcę. Taki ze mnie dobry chłopak. Proponuję losowanie. Jeśli wygracie, odjedziecie, jakbyście byli dla nich niewidzialni. Jeśli przegracie, chłopcy was dorwą. No jak? Wchodzicie w to czy mam się wynosić?

- Wchodzimy - chrypie laska nadspodziewanie stanowczo.

- Brawo, królowo - mówię. - Zdecydowałaś, więc będziesz losować za was oboje.

Cofa się odruchowo.

- Ale ja nie... nie wiem...

Podnoszę wzrok, spoglądam wprost w gorące słoneczne oko. Nie oślepia mnie. Jasne, że nie.

- Zauważyliście, jaką moc ma słońce? Ta cholernie wielka kula płonących gazów to ogromna moc. Niezwykła potęga. Bezpośrednie uderzenie promieni słonecznych zmienia losy świata. Naprawdę. Upał wyzwala potężne emocje, ogromną energię. Zwróciliście kiedyś uwagę, że wszystkie wielkie religie zrodziły się w gorących krajach? Ktoś szedł na pustynię i wracał z udarem słonecznym, a także gotowym programem uzyskanym wprost od Najwyższej Istoty. Rany, to były dopiero fantastyczne historie. Te wszystkie wzloty, zwątpienia, szaleństwa, wszystko w imię potężnej mistyki. Perły mojej kolekcji. Prawdziwe szlachetne kamienie. Czystsze, bardziej wartościowe niż sam Kohinoor. Bezcenne. Wasza historia to nic godnego uwagi, obawiam się. Ale w sumie to nie moja sprawa. No dalej, królowo. Jesteś gotowa ze mną zagrać?

- Zaraz! - płacze się. - Zaraz. Nie wiem, czego pan chce...

W obliczu niebezpieczeństwa nie lgną do siebie, nie podtrzymują się na duchu. Nawet nie szukają nawzajem swoich dłoni. Przeciwnie, odsunęli się trochę, jakby każde pokazywało, że ma czyste ręce, że winne jest to drugie. Laska patrzy na okularnika jak na śmiecia. W oczach ma żądzę mordy. To pewnie był jego pomysł, ta wycieczka do ruin. Ona najchętniej nie ruszyłaby tłustawej dupy z hotelu. Gdyby wyszli z tego, a oczywiście nie wyjdą, zrobiłaby mu z odbytu lądowisko F-16. Na moje oko niezbyt dobrze rokuje to związkowi. Ale czy to moja brocha?

- Chcę, żebyś wylosowała cztery kamienie z mojej kolekcji. Jak cztery strony świata, cztery wiatry, cztery pory roku. Symboliczne cztery żywioły. Od wody, ognia, powietrza i ziemi - tłumaczę spokojnie. - Jeśli uda ci się wybrać choć jeden szlachetny, jedną niezwykłą, oszałamiającą opowieść, może uda mi się coś dla was zrobić. Oszukać czas. Cofnąć nieodwołalne. Wtedy nie umrzecie.

- To wariat. Wariat - jęczy chłopak. - Uciekajmy stąd! Jezu, nie ma na co czekać! Zostaw tego posranego psychola i chodź! Do samochodu, a potem...

- Samochód już zobaczyli. Te skurwysyny z bronią. Prawdziwe jak ja i ty, dupku! Jak myślisz, pozwolą nam wsiąść i odjechać?! No, pozwolą?! - przerywa mu ostro, histerycznie. - Nie dociera do ciebie, tępaku? On może i ma świra. Ale nie rzuca pieprzonego cienia i patrzy czarnymi dziurami zamiast oczu! Sprzedam mu pierdoloną duszę za swoje życie. Rozumiesz? Chcę żyć, gnoju! Muszę żyć! I w dupie mam, co ty na to i co się z tobą stanie!

Pięknie, królowo. Lubię, jak ktoś zdecydowanie stawia sprawę. I cenię szczerość. Rzecz jasna, i

tak nie przeżyjesz, ale nie musisz o tym wiedzieć, nie? Tego, co nieodwołalne, nie da się przecież odwrócić. Niepotrzebnie się łudzisz.

Zwraca do mnie zaciętą, bladą twarz.

- Dobra, to co mam robić?

Zabić go na początek, mam ochotę powiedzieć, lecz przecież zrobiłaby to, a przynajmniej się starała, więc straciłbym kawał dobrej zabawy.

- Sięgnąć głęboko w piasek i wybrać cztery kamienie. W tym przynajmniej jeden szlachetny. OK, niech będzie moja strata. Może być i półszlachetny. Wtedy sprawię, że odjedziecie cali i zdrowi.

Dziewczyna waha się.

- W piasek? - powtarza. - Tak po prostu?

Kiwam głową.

- Noszę swoją kolekcję zawsze przy sobie, siostró. Jak by ci to wytłumaczyć? Ona nie jest za bardzo z tego świata. Rozumiesz?

Nie rozumie, ale to nic. Przykuca wśród starożytnych płyt chodnikowych, niepewnie muska dłonią ziemię. W oddali słychać już podniecone, gardłowe głosy przemysłowców.

- Śmiało, królowo - ponaglę. - Nie mamy dla siebie całej wieczności. Zamknij oczy i losuj.

Więc posłusznie przymyka powieki, sięga palcami w piasek. Widzę zaskoczenie na jej twarzy, gdy dotyka ukrytych w pyłe kamieni. Tyle ich tam leży. Setki. Tysiące.

Głosy przybliżają się. Słychać metaliczny klekot oporządzenia i tupot nóg. Chłopak rozpaczliwym gestem wpija sobie palce we włosy, czochra nerwowo czuprynę.

- Szybciej! - szepcze ochryple. - Szybciej, na litość boską!

Palce grzebią w piasku, wreszcie wyciągają kamień. Ładny, łaciaty otoczak ze złotymi plamami miki.

- Pudło - mówię. - To zwykły kamyk. Dawaj dalej, siostró.

Jest szara jak płótno, broda jej się trochę trzęsie. Widzę, jak przerzuca w głowie tabelki statystyczne, powtarza, że się uda, przecież musi się udać. Nic z tego, lecz po co wyprowadzać ją z błędu?

- Jeszcze trzy - mówię, uśmiechając się z otuchą.

Więc znów sięga w piach, jej dłoń drży wyraźnie. Wstrzymujemy na sekundę oddech, a potem z pyłu wynurza się gładki, płaski kawałek granitu. Ups! Chyba się znów nie udało.

Jej towarzysz wydaje głuchy, psi skowyt. Oczy ma wytrzeszczone, wyglądają jak wepchnięte za okulary ugotowane jaja. Ale Panna Workowate Gacie się nie poddaje. Zagryza usta gniewnie, rozpaczliwie. Co, u diabła, przecież jest tego warta? Wszyscy jej zawsze wmawiają, że wystarczy chcieć, że sukces *jest* na wyciągnięcie ręki. Ma się udać, bo tak! Ma, do cholery!

Trzęsąca się, spocona ręka znów nurkuje w piasku. Tym razem kamień jest nieregularny, krzywy, poprzerastany żyłkami rudy. Nikt by nie chciał wprawić czegoś takiego w pierścionek. Sorry, królowo.

Laska obraca go w palcach, jakby nie chciała uwierzyć.

- Został ostatni - mówię uprzejmie. - Jeśli chcesz, on może losować za ciebie. Kto wie, może dopisze mu szczęście.

- Nie! - warczy wściekle. - Ja sama!

Super, Zosiu Samosiu. Ale pretensję możesz mieć tylko do siebie.

Waha się, niezdolna podjąć ostatniego wyzwania. Przebiera palcami w piachu, dysząc ciężko. Jej policzki mają kolor cyklamenu, skóra *jest* brudnobiała, napięta, spocona. Okularnik gapi się na nią zbyt przerażony, by oddychać, jakby była saperem majstrującym przy bombie atomowej.

To mniej więcej taka liga. Niedouczony saper i ładunek nuklearny. Nie martw się, siostrzo. Nieważne, który kabelek przetniesz, zielony czy czerwony. I tak polecisz do nieba w wielkim, pieprzonym bum!

- No? - ponaglam. - Bo stracisz tę ostatnią szansę. Oni już tu idą. Słyszysz?

Słyszysz.

Dlatego rozpaczliwie chwyta pierwszy z brzegu kamień, ściska w zaciśniętej pięści, bojąc się spojrzeć. Ciężkie od czerwonego pyłu łzy spływają zza zamkniętych powiek, rysują zygzaki brudu na cyklamenowych policzkach.

Powoli, bardzo powoli rozchyła palce. Ale nie patrzy.

- Nie! Jezu, nie! - wrzeszczy okularnik, wytrącając jej z dłoni mały biały otoczek. - Teraz ja! Teraz moja kolej! Ja też chcę! Ja muszę losować!

Skurcz wykrzywia twarz dziewczyny. Spazm rozpacz i nienawiści.

- Bydlę! Bydlę! Bydlę! - syczy cichym, pełnym jadu głosem, nie wiadomo, do mnie czy do swego chłopaka. - Skurwielu! Chuju! Jebany śmieciu!

A on pada na kolana, smarkając i szlochając, rozgarnia piasek zakrzywionymi jak szpony paluchami.

- To był opal! Widziałem! Opal! Przysięgam! Powiedziałeś, że wystarczy półszlachetny! I był! Był! Przysięgam!

- Nie - mówię spokojnie. - Nie był. Spójrz. Mam je tu wszystkie.

Pokazuję mu rozwartą dłoń z czterema wylosowanymi kamieniami. Jego twarz flaczeje, jakby ktoś spuścił z niej powietrze.

- Nie! Nie! Oszukujesz, świni! Skurwysynu! Oszukujesz! Oszu...! Boże! Ratunku!

Wyrzuca ramiona w górę, łapie się za głowę w oszalałym zadziwieniu. Jego kobieta wciąż klnie monotonnie, nienawistnie, plugawo.

A napastnicy są już w alejce, biegną, podzwaniając oporzędzeniem, celując z automatów. Krzyczą gardłowo, w gęstwinach bród połyskują białe jak szron zęby. Oczy mają dzikie, skupione.

Żegnaj, siostrzo. Żegnaj dupku z cyfrówką. Obawiam się, że nikogo nie będziesz katował swoimi kiepskimi fotami. Bo tu gra idzie o znacznie wyższą stawkę. Bardzo wysoką.

* * *

Siedzę na marmurowym krużganku. W dole, pode mną, rozgrywa się przemoc, i śmierć, i brutalność. Patrzę, jak głowa okularnika pod ciosami kolb zamienia się w pęknięty melon, a potem czerwoną, brzydką pulpę. Wrzaski Królowej Wszechświata już zamierają, cichną, rozproszone w melancholijnej ciszy starożytnych ruin.

Ziewam. W sumie wszystkie gwałty są takie same. Cholernie nudne.

Czekam, aż skończą, załatwią swoje sprawy i pójdą. Kołyszę się na obcasach kowbojek, od czasu do czasu popijam łyk whisky, na rozgrzewkę. Obracam w dłoniach cztery wylosowane kamyki. Cztery pory roku. Wiatry. Strony świata. Cztery żywioły.

Czekam na hamsin.

* * *

W sumie wiem, że są jeszcze inni kolekcjonerzy podobni do mnie, ale nic mnie to nie obchodzi. Niech robią swoją robotę. Nie wchodzimy sobie w drogę. Czasem, bardzo rzadko, gdy wpadamy na

siebie, po prostu rozchodzimy się w swoje strony. Oni nie zbierają takich historii jak ja. Gromadzą inne kolekcje. Zdrady. Grzechy. Lubieżność. Małe podłości dnia codziennego. Zabójstwa. Okrucieństwa. Kłamstwa. Co tam kto lubi.

Wolę myśleć o sobie jako o zbieraczu nieco bardziej wyrafinowanym. Finezyjnym. Bo moje historie zawsze muszą zawierać element nadprzyrodzony. Kroplę mistyki. Duszę. Magię. Szczyptę niezwykłości w normalnym świecie. Szaleństwo.

Dlatego mój zbiór jest szczególny. Niezwykły. I cenny.

Kiedyś się z nim rozstanę. To oczywiste. Po to go hołubię i powiększam. Po to poszukuję wciąż nowych okazów. Żeby gdy już nastanie koniec czasów, sprzedać go za wygórowaną cenę. Za przywilej godziwego życia. Za różne profity.

Kiedy przyjdzie właściwa pora, kiedy już wypełnią się dzieje, dwie odwieczne siły, dobro i zło, będą musiały wznieść dwa przeciwstawne gmachy. Dom Światła i Dom Ciemności. A do budowy będą używać kamieni. Z kolekcji takich jak moja. Bo cóż lepszego można zaoferować budowniczemu niż dobry, solidny kamień?

Ta budowla, która okaże się wyższa, solidniejsza, piękniejsza, zwycięży. Stanie się fundamentem nowego imperium, nowego porządku. Światła bądź Cienia.

Wtedy moje historie okażą się szczególnie wartościowe. Wtedy Pan Ciemności zapłaci mi za nie cenę, której zażadam.

Nie mam bowiem wątpliwości, kto wygra rywalizację. Podróżuję po ziemi wystarczająco długo, żeby mieć pewność. Zło, występki, śmierć, zbrodnia królują na każdym kroku. Wystarczy się tylko pochylić i czerpać pełnymi garściami.

Pewnie gdzieś tam blakają się emisariusze Światła, zbierając te żalosne skrawki dobroci i miłości, miłosierdzia i współczucia. Krzyżyk im na drogę. To ich wybór, jakie kolekcje chcą gromadzić. Mnie nic do tego.

Ja znam ludzi. Przebywam wśród nich od tysięcy lat. Więc powodzenia, chłopcy. Ja mam zamiar ustawić się raz a dobrze na całą wieczność. A moje opowieści, moje piękne, szlachetne kamienie bardzo mi w tym pomogą.

Wolę stać po mrocznej stronie słońca. Po mrocznej stronie jego potężnej mocy.

Obracam w kieszeni cztery wylosowane otoczaki. Królowa Wszechświata i jej przydupas już ich nie usłyszą. Szkoda. Ktoś powinien. Wylosowane opowieści nie mogą wrócić do kolekcji, jeśli ktoś ich nie wysłucha. Muszą się rozwinąć, poszybować w przestrzeni, zalśnić wszystkimi barwami. Słowem, powinny mieć słuchaczy. Historie są po to, żeby je opowiadać. To je szlifuje, tak jak odpowiednia obróbka wydobywa połysk szlachetnych kamieni. Dodaje im blasku. Przydaje klasy niczym właściwa oprawa.

Trudno. Padło na was. Opowiedziałem je wam, skoro tamci już gryzą piach. A ostrzegałem rzetelnie na początku. Nie pakujcie się w to. Teraz jest już za późno. Pamiętacie? Tego, co się już wydarzyło, nie da się odwrócić.

Więc właśnie trzymacie je w dłoniach. Moje cztery historie. Część kolekcji. Żywioty. Wiatry. Pory roku. Każda inna. Do wyboru podług gustu. To nie są żadne klejnoty, przyznaję. Nawet nie półszlachetne gemmy. Ot, zwykłe otoczaki. Tyle że ładne.

Ale wysłuchaliście ich. Teraz nie macie już odwrotu. Bo właśnie spotkaliście Upiora Południa i pozostajecie w jego mocy. W mocy opowieści, upału, gorąca i słońca palącego na wiór.

Rozgrzanych kamieni.

Więc nie dziwcie się, gdy pewnego dnia przyjdę po was. Och, rozpoznacie mnie, jestem pewien. Przybędę w środku dnia, z uśmiechem na ustach i duszą pełną płomieni. I wiecie co? Wcale nie

sądzę, żebyście się ucieszyli na mój widok.

Możecie mnie nazywać, jak wam się podoba. Mam wiele imion. El Jantar. La Siesta. Południca. Dusioł. Diabeł. Demon. Żniwiarz. Syndrom karoshi. Niewydolność oddechowo-krażeniowa. Jasny szlag. Zawał. Do wyboru.

Nie dbam o imiona. Interesują mnie tylko dobre historie.

Nie wiem, czy wasze okażą się dostatecznie ciekawe, ale sprawdzę, gdy czas się wypełni. Obiecuję, że sprawdzę.

A ja zawsze dotrzymuję obietnic.

* * *

Zeskakuję z portyku. Podeszwy butów wzbijają obłoczki czerwonego pyłu. Hamsin jest blisko. Czuję go w sercu.

Podchodzę do trupa okularnika, zanurzam palce w jego krwi. Podnoszę do nosa. Pachnie żelazicie, słono, gorąco. Jak szaleństwo, zbrodnia, śmierć. Jak sirocco ciągnące z pustyni.

Pstrykam palcami na wietrze. Miałki pył ucieka w powietrze. Oto, co jest warta ich historia. Nic. Nawet nie odłamek żwiru, małe ziarenko piasku. Nieco rudawego prochu.

Otrzeputuję palce.

Czas ruszać. Czas szukać nowych, wspaniałych opowieści.

Słońce toczy się już ku zachodowi. Wkrótce spadnie za horyzont, spryskane szkarłatem, niczym odcięta głowa.

Nie boję się słońca. Jestem dzieckiem upału, Upiorem Południa. Zjawą jasnego dnia. Za to wy powinniście się go lękać. Wy tak.

Nie ma powodu bać się nocy, drżeć przed ciemnością. Noc to tylko brak światła. Niedobór niewygodny dla waszego podstawowego zmysłu, wzroku. Strach przed mrokiem to tylko zwykły ludzki zabobon. Owszem, noc ma swoje tajemnice, swoje potwory, swoje przerażenia, ale w większości przypadków wynikające z obsesji, złudzeń, szaleństwa, zwidów i omamów. Braku odpowiedniego oświetlenia, jeśli można tak powiedzieć.

To dzień przynosi prawdziwe lęki, prawdziwy szok. To w środku lata, rankiem lub słonecznym popołudniem dowiedzie się, że macie raka, że wasi bliscy mieli wypadek, że zdradza was żona, że wylali was na bruk, że nieuczciwy deweloper okradł was ze wszystkich oszczędności.

Wtedy noc, pełna swoich duchów, klekoczących w szafie szkieletów i potworów czających się pod łóżkiem, wyda wam się niegroźna i łagodna niczym bajka dla niezbyt rozgarniętych bachorów.

Bo prawdziwe koszmary, te najgorsze, najstraszniejsze, rodzą się zawsze w godzinie południa, w pełnym świetle dnia.

Koniec

Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Czas Mgieł 6](#)

[Upiór Południa Epilog. 87](#)

[lakierowany](#)